Miejskiej wypożyczalni książek dla dorosłych
9 IV

W numerze: Karol Szymanowski - Listy do Stefana Żeromskiego

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 9 kwietnia 1947 r. Nr 14 (83)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Co powiesz o tych filozofach naszej wszechnicy, którzy mimo wielokrotne propozycje nigdy nie chcieli planety lub księżyca obejrzeć przez teleskop."

(z listu Galileusza do Keplera)

TREŚĆ NUMERU:

JAN KOTT — **KARIERA KUPCA**
EWA FISZER —
TADEUSZ KUBIAK —
ANNA POGONOWSKA —
JERZY E. MILLER — **WIERSZE**
MIROSŁAW ORŁOWSKI — **BILANS GOSPODARCZY 1946 R.**
RYSZARD MATUSZEWSKI — **PLAN I WYKONANIE**
KAROL SZYMANOWSKI — **O MUZYKĘ DO „SUŁKOWSKIEGO"**
PAWEŁ HERTZ **SEDAN (II)**
ALEKSANDER SZPAKOWICZ — **LUMPENBURŻUAZJA (I)**
ZYGMUNT RADEK — **JARMARK W CZERSKU**
STANISŁAW ŚRENIOWSKI — **OKOPY ŚW. TRÓJCY**
MIECZYSŁAW DROBNER — **PROBLEMY ORGANIZACYJNE ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO**
EWA KORZENIEWSKA — **„NA SREBRNYM GLOBIE"**
PRZEGLĄD PRASY
KORESPONDENCJA
NOTY

JAN KOTT

Przedmowa do „Lalki (II)

KARIERA KUPCA

„— W każdym razie kupiec..
— Czymże kupiec gorszy od bankiera?
— Kupiec galanteryjny sprzedaje port monetki..."

(„Lalka")

KIEDY Wokulski postanawia za kamienicę Łęckich przepłacić 30.000 rubli, aby uratować posąg panny Izabeli, jego adwokat kiwa głową z politowaniem i powtarza: „Romantyk... romantyk". Tę definicję romantyka, jako człowieka, który niepotrzebnie wyrzuca pieniądze na kobietę, przejęła zupełnie poważnie nasza historia i krytyka literacka od Feldmana po Szweykowskiego. Rozum i uczucie, nierozważne zapały i praktyczna działalność, trzeźwość i metafizyka, porywy entuzjazmu i stateczna rozwaga — ten cudowny schemat wystarczał, aby wyjaśnić wszystko, absolutnie wszystko: Wokulskiego i „Lalkę" Prusa i warszawski pozytywizm, przełom po roku 1863 i przemiany w latach osiemdziesiątych.

Miłość Wokulskiego do Izabeli — oto niewątpliwa cecha romantyzmu, prowadzenie sklepu i zyski handlowe — oto dowód, że był również pozytywistą. Stąd sprzeczności w duszy bohatera i wyjaśnienie społecznej historii półwiecza. Nieszczęśliwą miłość, zwłaszcza do panny z arystokracji, wymyślili romantycy, natomiast zarabianie pieniędzy było, jak powszechnie wiadomo, wielkim i niewątpliwym odkryciem pozytywistów.

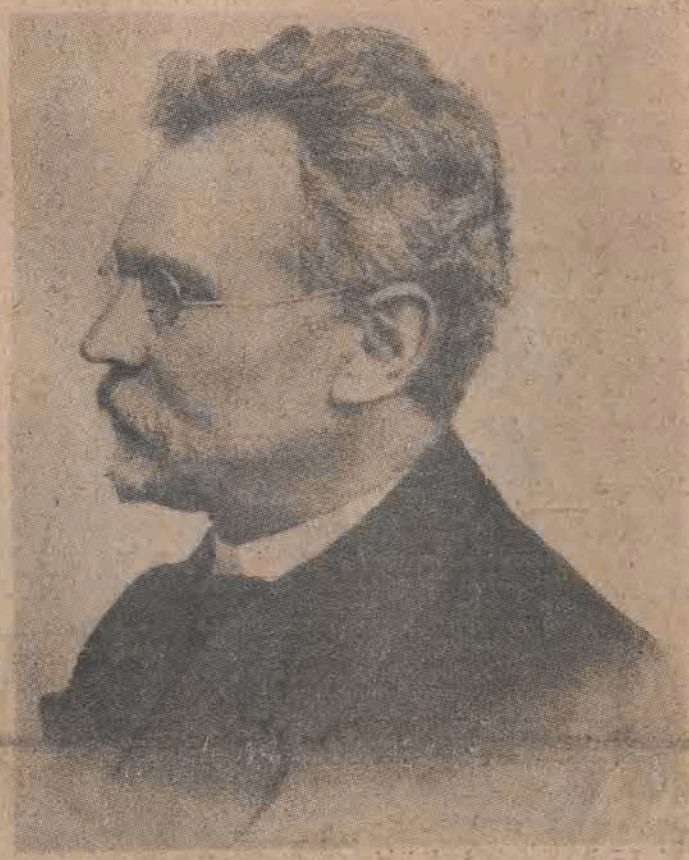

Bolesław Prus

To nie są żarty! Tak wygląda filozoficzny kamień naszych alchemików literatury. Bo tylko posłuchajmy: „Nie zdawano sobie sprawy z tego, że dokonywa się coś więcej, niż „zmiana straży", niż zastąpienie „znużonych gwardzistów", młodymi, silnymi. Dokonywało się coś znacznie istotniejszego, głębszego. Bo przewrót ten miał znamiona prastarej walki, jaka toczy się wciąż, walki między *rozumem*, ratio, a *irracjonalnymi* władzami duszy. Jak w XVI wieku (u nas w Polsce) przeciwko scholastyce wystąpił humanizm, jak w wieku XVIII przeciwko prawdom objawienia — racjonalizm, tak po roku 63-im przeciwko idealistycznej metafizyce i uczuciowości pozytywizm.." Tak tłumaczy genezę pozytywizmu Konstanty Wojciechowski w swoim „Przewrocie w umysłowości i literaturze polskiej po roku 1863".

Nie on jeden! Bo oto: „Pozytywizm triumfował. Społeczeństwo było ze wszystkich szaleństw uleczone gruntownie! Osłabiony depresją nerwową organizm przepisał sobie tryb życia spokojny i systematyczny, dyametralnie przeciwny namiętnym porywom uczucia, fantastycznym mrzonkom i mistycznym zapałom dnia wczorajszego. Pieśń Tyrteusza ustąpiła odzie do młota i kielni". I dalej: „Pozytywizm strącił z ołtarza uczucie i umieścił rozum, czynnik analizy i abstrakcji, uniwersalny i kosmopolityczny... Zimno było acz jasno w dobie pozytywizmu, zimno i trochę obco..." Tak pisał Wilhelm Feldman w swej „Współczesnej Literaturze Polskiej" z roku 1902, do dziś dnia niezastąpionym podręczniku literatury i co tu dużo mówić, ciągle najbardziej kapitalnym z dzieł naszej krytyki.

A teraz rok 1880. Raz jeszcze to samo, tylko tym razem na odwrót. Cudowny schemat dalej działa niezawodnie: „Ale trzeźwy chłodny rozum nie długo będzie samowładnym. Fala uczucia powróci i — rzecz dziwna — uczuciu długo krępowanemu dadzą folgę najpierw ci właśnie, którzy się z nim tak starannie ukrywali..." To Wojciechowski, a Feldman, proszę bardzo: „Trzeźwa od wielu lat, w atmosferze wiedzy przyrodniczej lub historycznej, pracy organicznej i zgody z losem, żyjąca dusza narodu, zaczyna uczuwać nieznane dotąd dreszcze. Na dnie wszystkich tych ruchów i odruchów, jako wspólny mianownik, leży tłumiony, często błądzący, coraz szczerszy, coraz potężniejszy rozrost uczucia... Przepaść między młodymi a starymi, którzy zresztą nie byli zbyt starzy, po r. 1880 zagłębia się. Spokojnej, wytrawnej kulturze, pracą organiczną, oświatą, czystym duchem cywilizacyjnym, pragnącej dojść do celu — przeciwstawia się uczucie zbuntowane, acz drapujące się w chłód i naukowość, niecierpliwie targające więzy, pragnące ruszyć z posad bryłę świata...".

Ale na tym nie koniec! Skoro cały przewrót społeczny dokonał się w głowie jednostek, cóż prostszego jak ukazać teraz owo zmaganie się rozumu i uczucia w duszy pisarza i wszystkich jego bohaterów. Znowu wszystko od początku: Proszę:

„Brakowało mu (sc. Prusowi) harmonii wewnętrznej. Nosi w sobie intelekt czysto pozytywistyczny, a głębiej, silniejszą może i pierwotniejszą potęgę uczuciowości, czysto romantyczną... Stąd dwoistość w naturze i twórczości Prusa, tworząca w jego dziełach dwa równoległe nastroje: pesymizm i optymizm. Pesymizm płynie z pozytywizmu, z intelektu, z pochłaniania i reprodukowania rzeczywistości; uczucie staje jednak nad tymi fenomenami, tworzy sobie świat wyższy, syntezę szerszą, a w niej człowiek i jego koleje stają się czemś małem, przemijającem, podporządkowanem odwiecznym prawom, któremi dla człowieka miłości może być tylko prauczucie i wszechmiłość..."

Tak pisał Feldman, blisko pół wieku temu i przez te pięćdziesiąt lat nic się w naszej profesorskiej krytyce nie zmieniło. Kamień filozoficzny działa jak działał: marzycielstwo i trzeźwość, wybuchy uczucia i chłodny rozum. Od Feldmana do Szwejkowskiego, bez zmian! Uniwersalny środek do wszystkiego!

„Psychika Prusa — czytam w „Lalce" Zygmunta Szweykowskiego z roku pańskiego 1935 — mimo całej swej wyrazistości i konsekwencji w czynach, należy do najbardziej skomplikowanych, są bowiem w niej czynniki, toczące wzajemnie walkę i łatwo też może nas złudzić ta lub inna strona. Można nazwać Prusa zarówno „najzagorzalszym pozytywistą" jak i „zakapturzonym romantykiem". Oba określenia są słuszne, gdyż Prus ma w swej psychice czynniki takie, które kwalifikują go na pozytywistę, jak i takie, które zbliżają go do romantyków..."

I tak w nieskończoność: „Prus mimo niesłychanie wybitnych naukowych tendencyj swej umysłowości jest przede wszystkim typem uczuciowym i uczuciowość ta — to rewolucyjny czynnik jego duszy, czynnik, który świadomie lub nieświadomie podważa hamulce wiedzy pozytywistycznej; bo ona jest dlań ciasna, który pcha do obalenia tamy kompromisu — bo pragnie wielkości, który burzy mozolnie wypracowaną harmonię wewnętrzną — bo chce rzucić wszystkie siły na jedną stawkę, dla jednego celu. Uczuciowość ta, często utajona — jest jednakże kierowniczą i w decydujących momentach zaznacza swą siłę. Prus walczy z nią od czasów młodości, walczy jednak na próżno, podobnie jak ze swym talentem..."

Ta mitologia psychologiczna nie jest jednak całkowicie niesłuszna. Wewnętrzny konflikt ideowy i wewnętrzne sprzeczności istnieją w pozytywiźmie. Dostrzec je można w całej publicystyce okresu, we wszystkich powieściach Prusa, a zwłaszcza w „Lalce", przez którą przebiega jak gdyby wewnętrzne pęknięcie. Ale sprzeczności te nie są wynikiem zmagania się abstrakcyjnych i wiecznych władz ludzkiej psychiki, za ową naiwną metaforą o walce rozumu z uczuciem kryje się groźny i bezwzględny dramat rozwoju kapitalizmu, któremu zawsze i wszędzie torują drogę walki i bohaterstwo, złudzenia i nadzieje tych, którzy wkrótce sami padną jego ofiarą.

Aby odsłonić konkretną, historyczną treść tych wewnętrznych sprzeczności trzeba przeczytać „Lalkę", przeczytać aż do końca, przeczytać, choćby nawet wbrew intencjom jej twórcy, który wierny surowej prawdzie faktów, rysuje narastanie społecznego konfliktu, ale konfliktu tego nie potrafi wyjaśnić. Trzeba odczytać w „Lalce" historię przemian społeczeństwa od roku 1848, kiedy Rzecki rzucił wszystko, aby bić się w węgierskiej rewolucji, po rok 1879, kiedy Wokulski dla międzynarowych handlarzy bronią targuje statki w Paryżu, historię przemiany małego sklepu kolonialno - mydlarskiego na Podwalu, rządzonego patriarchalnie przez właściciela, w wielką spółkę dla handlu ze Wschodem o kapitale obrotowym trzech milionów rubli *).

---

*) Już sam Prus dziwił się bardzo współczesnej mu krytyce, która tak dobrze orientowała się w jego psychice, a tak mało interesowała się powieścią, a zwłaszcza tym, o ile jest ona prawdziwa i odpowiada rzeczywistości. W „Kurierze Codziennym" pisał z myślą o „Lalce": „Pewien autor napisał... powieść pt. „Figa z makiem", czy też „Dziura w Moście", usiłując scharakteryzować w niej życie społeczne, stosunki i typy kilku pokoleń... W Anglii pytano by się przede wszystkim, o ile owe stosunki i typy są prawdziwe i o ile są nowe? Tu jednak najniecierpliwiej dowiadywano się: dlaczego powieść nosi tytuł „Figa z Makiem" czy też „Dziura w Moście" i czy Dziura ożeni się z Makiem, a Figa z Mostem?"

Szweykowski w swojej książce o „Lalce" cytuje to zdanie, ale nie wyciąga z niego niestety żadnych wniosków...

„Lalka", o której Prus pisał, że chce w niej „przedstawić dzieje naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu" jest wielką powieścią o awansie społecznym i wielką powieścią rozczarowania. *Powieść o awansie społecznym!* Nigdy jej w Polsce nie było. A przecież to najbardziej typowy, klasyczny niemal wzór angielskiej i francuskiej mieszczańskiej powieści. Dzieje wspinania się w górę klas społecznych, wyrastania fortun, wielkich karier arrywistów burżuazji, kolonialnego podboju! A u nas, u nas klasycznym wzorem powieści obyczajowej są dzieje degradacji społecznej. Ruina finansowa dworu i nie kończące się dzieje rozbitków szlacheckich, a potem klęski inteligenta, nieudane próby prometeizmu i wyjścia poza swoją „sferę", wszystkie kolejne etapy deklasowania się społecznego. I jeszcze, aż do obecnej chwili, nie kończący się rachunek sumienia, że nie udało się, że nie byliśmy winni, nie wyszło.

„Lalka" jest wielkim wyjątkiem. I nie znam w naszej literaturze bardziej przejmującej sceny, jak historia pożegnania się Wokulskiego ze sklepem Hopfera. Jest ona przykładem zagęszczenia rzeczywistości, tak charakterystycznego dla największych mistrzów klasycznego realizmu. Los indywidualny wyrasta ponad szarą przeciętność i jak gdyby wykuty w samym materiale historii, wyraża los pokolenia. Jak wielkie rzeźby antyczne, które przez wieki były kanonem i miarą piękna ciała ludzkiego, tak owe wielkie sceny powieści stają się jakgdyby skrzepem historii, miarą powszechną i wierną, za pomocą której sądzimy epoki.

„W początkach roku 1861-go Stach podziękował Hopferowi za miejsce. Zamieszkał u mnie... rzucił handel, a natomiast począł chodzić na akademickie wykłady jako wolny słuchacz.

Dziwne było jego pożegnanie ze sklepem, pamiętam to, bo sam do niego przyszedłem, Hopfera ucałował, a następnie zeszedł do piwnicy uściskać Machalskiego, gdzie zatrzymał się kilka minut. Siedząc na krześle w jadalnym pokoju słyszałem jakiś hałas, śmiechy chłopców i gości, alem nie podejrzewał figla.

Naraz (otwór prowadzący do lochu był w tej samej izbie) widzę, że z piwnicy wydobywa się para czerwonych rąk. Ręce te opierają się o podłogę i tuż za nimi ukazuje się głowa Stacha raz i drugi. Goście i chłopcy w śmiech.

— Acha! zawołał jeden stołownik — widzisz jak trudno bez schodów wyjść z piwnicy? A tobie zachciewa się odrazu skoczyć ze sklepu do Uniwersytetu! Wyjdź-że, kiedyś taki mądry...

Stach z głębi znowu wysunął ręce, znowu chwycił za krawędź otworu i wydźwignął się do połowy ciała. Myślałem, że mu krew tryśnie z policzków.

Jak on się wydobywa... Pysznie się wydobywa!... zawołał drugi stołownik..."

W tej piwnicy handlu win i delikatesów Hopfera dzieje się kawał społecznej historii Polski. W kącie w tabaczkowym surducie ojciec Wokulskiego mamrocze o utraconych dobrach i probuje wyciągnąć od syna parę złotych na prowadzenie procesu spadkowego. Chłopiec w wolnych chwilach od podawania gościom chwyta za książkę, albo też probuje zbudować maszynę, która się będzie wiecznie sama poruszać. Studenci, młodzi urzędnicy, subiekci, owe doły *czerwonych* schodzą się tutaj na konspiracyjne zebrania i mówią o bliskiej rewolucji, która zniesie różnicę między ludźmi i sile ducha, która zdolna jest przenosić góry. Rzecki opowiada o Napoleonie i wielkim posłannictwie Bonapartych, pan Leon o Garibaldim i Mazzinim. Wokulski uczy się do egzaminu. Na górze kupcy schodzą się na śniadania i kpią z subiekta, który chce zostać „panem konsyliarzem" Tak wyglądała warszawska szkoła rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w roku 1861.

Ta piwnica Hopfera przypomina mi zawsze balzakowski pensjonat mamy Vauquer, w którym ojciec Goriot głodował, aby zaspokoić kaprysy córek, Rastignac układał plany podboju Paryża i brał gorzkie lekcje mądrości od Vautrina. Wiem, jakie są różnice pomiędzy Paryżem przed rewolucją lipcową a Warszawą przed wybuchem powstania. Ale piwnica Hopfera odgrywa tę samą rolę w „Lalce", co w „Komedii Ludzkiej" Balzaka, pensjonat mamy Vauquer i mansardy dzielnicy Latyńskiej, gdzie o wielkości marzyli d'Arthez, Bianchon czy Lucjan.

Jest to chwila przed walką i czas wyboru, czas jak gdyby zawieszenia praw mieszczańskiego społeczeństwa, w którym za karierę trzeba płacić podłością, w którym talent i wiedza, miłość i wartość osobista są tylko towarem, mającym określoną cenę na rynku.

„Społeczeństwo burżuazyjne — pisze Marks w „18 Brumairze" — w swej nagiej rzeczywistości stworzyło sobie właściwych wyrazicieli i rzeczników w postaci Say'ów, Cousinów, Royer-Collardów, Benjamin-Constantów i Guizotów, jego prawdziwi dowódcy zasiadali przy kantorku w biurze, a jego głową polityczną była nalana sadłem głowa Ludwika XVIII. Całkowicie pochłonięte wytwarzaniem bogactw i po kojową walką konkurencyjną, nie pamiętało już ono, że widma czasów rzymskich czuwały nad jego kołyską. Ale jakkolwiek niebohaterskie jest społeczeństwo burżuazyjne, potrzeba przecież było bohaterstwa, poświęceń, terroru, wojny domowej i bitew narodów, aby wydać je na świat".

Balzak wie o tym dobrze i dlatego wielki i surowy realista, pozwala swoim bohaterom przeżywać ów heroiczny okres mieszczaństwa jedynie w marzeniach młodości. A Prus? Prus może jeszcze ten okres pokazać. Są nim dzieje wyprawy na Węgry Rzeckiego, piwnica u Hopfera i cała młodość Wokulskiego. „Subiekt, który spędzał czas nad książką, student, który przez nędzę szedł do wiedzy, żołnierz pod deszczem kul, wygnaniec, który w śniegiem zasypanej lepiance pracował nad nauką..." wyrasta na pozytywnego bohatera historii.

I to jest jedna powieść w „Lalce", *powieść o awansie społecznym*. I teraz zaczyna się druga wielka powieść — *powieść rozczarowania*, polskie „stracone złudzenia" mieszczańskich reformatorów. „Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy — oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem — wszyscy szydzili z niego, zacząwszy od kuchcików, skończywszy na upijających się w sklepie inteligentach. Kiedy nareszcie dostał się do Uniwersytetu — prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom. Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie Czerskich, Czekanowskich, Dybowskich. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu... No i wrócił do handlu, a wtedy zawołano, że się sprzedał i żyje na łasce żony, z pracy Minclów.

Ale ta powieść rozczarowania jest jednocześnie powieścią o karierze finansowej, wielką powieścią o kupcu, który zrobił majątek. I tutaj zaczyna się jedna z najbardziej niepokojących i dziwacznych spraw w „Lalce". Nie ma chyba w literaturze światowej drugiej takiej powieści, w której by motywem, i to nie tylko motywem, ale przede wszystkim usprawiedliwieniem zarabiania pieniędzy i to zarabiania pieniędzy przez *kupca*, była nieszczęśliwa miłość. Zarobił milion, trudno, trzeba mu wybaczyć, to wszystko przez tę nieszczęśliwą miłość do panny Izabeli. Dla Francuza, czy Anglika to zawstydzenie Prusa, że jego bohater dorobił się majątku na korzystnych operacjach handlowych, byłoby czymś zupełnie niezrozumiałym. A u nas? U nas uznano to za rzecz tak naturalną i samo przez się zrozumiałą, że nikt nawet na to nie zwrócił uwagi. Kto u nas oprócz Boy'a naprawdę przeczytał Balzaka?*).

Prus daruje jeszcze Wokulskiemu małżeństwo z Minclową. Co miał robić? „Kupcy nie dali mu roboty, gdyż był uczonym, a uczeni nie dali mu także, ponieważ był eks-subiektem". Tutaj winne są stosunki społeczne. Ale kariera finansowa Wokulskiego musiałaby już iść na jego własny rachunek, gdyby... gdyby nie miłość do panny Izabeli. Romantyczny kochanek okupić musi grzechy kupca.

Bo zwróćmy teraz uwagę na jedno, jakie są szczeble tej kariery? A więc pierwszy: dostawy dla wojska na wojnie bułgarsko-tureckiej. „Kapitał w ruchu. Gruba gra. Prawie co miesiąc cały majątek, a co dzień życie... pomiędzy kulą, nożem i tyfusem". Jakże daleko odeszliśmy od ideałów patriarchalnych małego sklepiku mydlarskiego na Podwalu. A rezultat: 300.000 rubli zamiast trzydziestu. W ciągu paru miesięcy zarobił Wokulski „dziesięć razy więcej, niż dwa pokolenia Minclów przez pół wieku". Zmieniły się nie tylko ideały, zmienił się typ działalności handlowej. To już nie był ani heroiczny okres mieszczaństwa, ani program „pracy organicznej".

Jeszcze ową wyprawę na wojnę turecką mógłby Prus Wokulskiemu darować. Wymagała energii, inicjatywy, osobistej dzielności, cnót, które starzy pozytywiści szacowali wysoko. Ale tutaj zaczyna się szczebel drugi: Spółka do handlu z Cesarstwem. I znowu dzieją się rzeczy pozornie bardzo dziwne. Celem Spółki jest sprowadzanie perkalików od fabrykantów moskiewskich. I to kiedy? W roku 1878, kiedy Łódź rosła jak żadne inne miasto w Europie. Miała już 100.000 mieszkańców, a wartość jej produkcji fabrycznej przekraczała sumę 25 milionów rubli. Co za szaleństwo! Sprowadzać perkaliki z Moskwy do Warszawy, kiedy cała Łódź pracuje na rynki wschodnie. Czyżby się Prus pomylił? Pisał gdzieś Marks, że się z Balzaka więcej nauczył historii gospodarczej Francji, niż od wszystkich burżuazyjnych ekonomistów razem wziętych. Zaufajmy i my wielkiemu realiście!

Jak było naprawdę? Przemysł włókienniczy Królestwa wysyłał dwie trzecie swojej produkcji do Rosji. Ale ten sam przemysł włókienniczy tylko w połowie zaspakajał potrzeby Królestwa. Obcy kapitał nie interesował się krajowym rynkiem, Łódź była tylko miejscem postoju i tanich rąk roboczych, dysponentem — banki niemieckie, odbiorcą — ogromne rynki wschodnie. Im dalej na Wschód, tym bardziej rosła cena perkalików. „Potrzeby niższych warstw — pisze w nieogłoszonej jeszcze „Historii Gospodarczej" Witold Kula — pokrywał przemysł domowy wiejski, oraz wiejskie i miejskie rzemiosło... Dla tych warstw produkcja krajowego wielkiego przemysłu była zbyt droga i nie dla nich on pracował. Natomiast potrzeby warstw wyższych pokrywane były wyrobami importowanymi z Zachodu (a jeśli idzie o tkaniny, nawet i ze Wschodu, z Moskwy). Dla tych warstw produkcja wielkiego krajowego przemysłu była zbyt licha; również i nie dla nich on pracował."

Spółka do handlu z Cesarstwem nie była fantazją Prusa. Ale Spółka do handlu z Cesarstwem — to kapitał ziemiański. Ale Spółka do handlu z Cesarstwem — to rozwianie marzeń o ludziach, którzy „z cyrklem, łańcuchem mierniczym i łopatą, zdobywają dla cywilizacji przestrzenie ziemi", to obalenie mitologii „kapitanów przemysłu", którą głosili pierwsi pozytywiści.

Pozytywny bohater historii, „czerwony" romantyk i powstaniec z 63 roku obraca teraz kapitałami arystokracji, płacąc jej 18 procent rocznej dywidendy. Zaczyna się drugi szczebel kariery finansowej Wokulskiego: wrastanie w arystokrację. Dyplom szlachecki i gra w karty z hrabiami, arystokracja na poświęceniu sklepu w Hotelu Europejskim i kupno klaczy wyścigowej, pojedynek, lekcje angielskiego, publiczna filantropia, powóz i pańskie fanaberie. Oczywiście wszystko to robi Wokulski z nieszczęśliwej miłości do panny Izabeli Łęckiej. I nie wiem co bardziej podziwiać, naiwność mieszczańskiego idealisty, który ocalić chce czystość duszy Wokulskiego, ukazać konflikt społeczny tam, gdzie już oddawna przestał istnieć, czy też wielkość realisty, który jak przyrodnik notujący rozwój kultury bakterii, wiernie i ściśle ukazuje *jedyną* możliwą drogę finansowej kariery bohatera*). Biedna panna Izabela odpowiada *jednocześnie* za wszystkie winy arystokracji i... kapitalizmu.

Tutaj przebiega owo wewnętrzne pęknięcie, idące wzdłuż całej powieści. Wewnętrzny portret bohatera nie zgadza się z jego czynami. Wokulski — niepoprawny marzyciel, ślepo zakochany w pannie Izabeli, irytuje nas, drażni i zniechęca. Obłąkana miłość Wokulskiego jest niewątpliwie ideologicznym wybiegiem, przeinaczeniem motywów, przemianą rzeczywistego konfliktu społecznego i obyczajowego w fikcyjną rozprawę z romantycznym pojmowaniem miłości. Irytuje nas przecież i drażni nie sama nieszczęśliwa miłość Wokulskiego — kupcy kochają się także i nawet czasami bez wzajemności,—lecz uznanie nieszczęśliwej miłości za wymysł romantyków. Za szaleństwa miłosne Wokulskiego Prus obarcza odpowiedzialnością Mickiewicza. To było właśnie szaleństwem pozytywistów.

Niewątpliwie style obyczajowe w miłości pożyczają sobie za każdym razem język z literatury. Typowy konflikt obyczajowy, tak samo jak typowy konflikt społeczny, dorabia się w końcu własnej ideologii i filozofii. Romantyczna miłość, idealna i nieszczęśliwa, była przyjętą i uznaną formą towarzyskiego stosunku, kiedy małżeństwu stawały na przeszkodzie różnice stanu, majątku czy pozycji społecznej. Oczywiście, schemat ten działał tylko w jedną stronę, wtedy kiedy kobieta stała wyżej w hierarchii społecznej. Gdy *ona* była mieszczanką, a *on* arystokratą, nikt się na idealną miłość nie powoływał. Idealna koncepcja miłości wyrosła z różnic feudalnych i je uszanowała. Dopiero pozytywiści zaatakowali romantyczny kostium miłosny i uznali go za nienaukowy i niedemokratyczny.

Pierwsza fala rewizjonizmu obyczajowego przyszła w Królestwie po roku 1870. Na zagraniczne uniwersytety zaczęły wyjeżdżać wtedy pierwsze panny zamożnych rodzin mieszczańskich. Wśród robotników pracujących w przemyśle Kongresówki przeszło 30 proc. stanowiły kobiety. W przemyśle włókienniczym były one w większości. Deklasowanie się społeczne dworu i proletaryzacja wsi wywoływała nowe konflikty obyczajowe, rozpad patriarchalnej rodziny.

Na łamach pozytywistycznego „Przeglądu Tygodniowego" toczyła się wielka dyskusja o kierunek wychowania kobiet, tolerowanie dwóch moralności, prawa dzieci nieślubnych. Jakaś anonimowa emancypantka śmiało pisze: „Dziś, gdy hydra skeptycyzmu wdarła się w nasze łono, gdy o wszystkim poczynamy wątpić, gdy dogmat za dogmatem upada w duchu, toć i zasady etyczne, będące jego wypływem, upaść muszą... My odsunięte od tej myśli ogólnej, od pracy na tym polu, niepodowane żadną podnioślejszą ideą, cóż postawimy na ruinie zwalonych zasad moralnych?... Czyż droga upadku nie leży przed nami otwarta, uśmiechnięta?"**).

Droga upadku rzeczywiście wydawała się... uśmiechnięta. Świeżo właśnie przetłumaczono „Damę Kameliową" Dumasa. I bez wyjątku wszyscy uniewinniali słabe kobiety i oskarżali mężczyzn o podwójną moralność. Bodajże wtedy zabiera po raz pierwszy głos Piotr Chmielowski. Ma lat dwadzieścia i gorąco broni kobiet: „Naszem zdaniem — pisze — panów zacze-

---

*) A nawet sam Boy? W „Roczniku Literackim" pisał Zygmunt Czerny, że Boy tłomacząc Balzaka za każdym niemal razem zmieniał wysokość rent, koszta postępowania spadkowego, sumy rachunków wekslowych, które grają tak ogromną rolę w „Komedii Ludzkiej". Nie był po prostu zdolny przepisać dwóch liczb bez omyłki.

*) Urocza jest niewinność ekonomiczna naszych krytyków literackich.

W szkicu o „Bolesławie Prusie" (Odrodzenie Nr 38 z r. 1946) K. W. Zawodziński pisze: „Wokulski może tylko stracić majątek swą sentymentalną filantropią, bezwolnym uleganiem kaprysom miłości i potrzebom snobistycznego włażenia w arystokrację". Sentymentalna filantropia — to w pozycji Wokulskiego był obowiązujący konwenans obyczajowy, jak frak na wieczorne przyjęcie. „Snobistyczne włażenie w arystokrację"... a z kim się miał zadawać dyrektor wielkiej spółki handlowej w r. 1879, kiedy do banków popłynął kapitał ziemiański. Arystokracja i wielki przemysł — to były dwie jedyne realne siły kapitalizmu w Królestwie. A Wokulski ma już wtedy pół miliona! I czy się kochał, czy nie kochał, tak właśnie, i tylko tak musiał postępować.

**) Cytuję wg. K. Wojciechowskiego „Przewrót w umysłowości i literaturze polskiej po roku 1863" (Lwów, 1928).

piających uczciwe kobiety najlepiej oddawać w ręce straży policyjnej, gdyż nic tak zbawiennie nie studzi miłosnych zapałów nad... przepędzoną noc... w kozie. I tego rodzaju koniec najlepiej odpowiada zapędom ich awanturniczego popędu".

Obok „Szalonej" Kraszewskiego „Lalka" Prusa jest drugą wielką powieścią ukazującą nowy konflikt obyczajowy. Dziś rewizjonizm obyczajowy Prusa nie jest tak łatwo czytelny i trudno nam zdać sobie sprawę, jakie gromy ściągać musiała na siebie anielska i niewinna pani Stawska, kiedy dopuszczała do siebie straszną myśl, aby żyć z Wokulskim bez ślubu. A cóż dopiero pani Wąsowska, która śmiało broni równości erotycznej obu płci i sama sobie wybiera kochanków?

Ale w „Lalce" mamy nie tylko rewizjonizm obyczajowy, mamy dużo trudniejszy rewizjonizm psychologiczny. W literaturze naszej, tak ubogiej w realistyczne portrety kobiet, panna Izabela Łęcka nie ma chyba rywalki. To wspaniały portret kobiety zimnej. Ale chłód zmysłów i uczuć nie jest tutaj tylko wynikiem „sfery", wychowania i konwenansów towarzyskich. Prus przy całej dyskrecji w sprawach seksualnych studium socjologiczne uzupełnił fizjologią: panna z towarzystwa jest frygidą, której miłosne zapały uśmierza całkowicie nawiedzający ją w snach posąg Apollina. Nikt przed Prusem tak śmiało nie pisał o kobiecie i nikt po nim tak jasno nie pokazał frigiditas.

W porównaniu z tą przepysznie narysowaną galerią kobiet, obraz miłości Wokulskiego wydaje się jeszcze bardziej fałszywy, mdły i sztuczny. Ta wielka miłość zrobiona jest z papieru. Prus chciał pokazać, jak wyglądał zakochany romantyk. Ale ten romantyczny kostium pęka na kupcu. Widać szwy ideologii. To rok 1879. Wokulski nie jest biednym poetą, szturmującym do serca bogatej dziedziczki. Konflikt społeczny i obyczajowy jest zupełnie inny. I trudno nam uwierzyć, aby ten, co tu dużo mówić, wielki aferzysta swojej epoki w międzynarodowym stylu, mógł być jednocześnie bezradnym, przeczulonym i nieudolnym kochankiem, który na dobitek w wolnych chwilach od spekulacji, rozmyśla o uszczęśliwieniu całego kraju i ludzkości.

Jakżeż inaczej wyglądają wielcy arrywiści balzakowscy w konkurach o rękę czy względy dziedziczek z Faubourg Saint Germain. Nucingeny i du Tillety żenią się z najświetniejszymi arystokratkami, ale każą im gorzko płacić za lata pogardy i brak posagu. Nawet ów Natan Raul, który dopiero co wypłynął, dziennikarz *tylko* i kandydat na ministra, oburza się w „Córce Ewy", kiedy go niezbyt łaskawie przyjęła hrabina de Vandenesse: „Nigdy moja noga tu nie postanie. Ta margrabina z porcelanki za drogo sprzedaje mi swoją herbatę. Znajduje mnie paradnym! Rozumiem teraz dlaczego Saint-Just wyprawiał cały ten światek na gilotynę..." Gdzież do niego Wokulskiemu. Ale to nie tylko sam Prus winien. Tu — kupiec galanteryjny, który niedawno sprzedawał portmonetki i raj utraconego folwarku, a tam — bankierzy w przede dniu rewolucji lipcowej.

Ale nawet przy całym programowym idealizowaniu portretu Wokulskiego i pełnym wewnętrznych sprzeczności do niego stosunku, zwycięża w Prusie realista. Zadziwi nagle ostrością obserwacji: „Chodźmy do sklepu. Bywają rozmowy, po których dobrze jest mówić o interesach". Albo niespodziewanie osadzi bohatera z powrotem w rzeczywistym świecie: „Jeżeli nie pójdę do kościoła, gdzie ją spotkam?... Jeżeli nie pieniędzmi, czym zwrócę na siebie uwagę..." Albo pozwoli mu zaznać przelotnej chwili triumfu: „Z komórki przy sklepie do buduaru hrabiny co za skok!"

Te surowe zdania brzmią nam znajomo, jak byśmy je już gdzieś kiedyś przeczytali, jak byśmy je znali skądinąd. Już wiem — to Balzak. I to najlepszy Balzak, doktór społecznej wiedzy, u którego spiętrzone obserwacje gestów i namiętności, walki uczuć i interesów zmierzają nieuchronnie do wykrycia prawa, do jasnej i ścisłej formuły. Ale formuły balzakowskie, o precyzji i kształcie maksymy siedemnastowiecznej, nie podają nam jak u wielkich moralistów abstrakcyjnego wzoru natury ludzkiej, są one zawsze prawami społecznego zachowania się jednostek, teorią wznoszenia i upadania klas społecznych.

Wielki kawał tego Balzaka jest w „Lalce". Oto tak bardzo przypominający metody balzakowskich arrywistów, program zdobycia Izabeli, który układa Wokulski:

„Nie być kupcem, albo być bardzo bogatym kupcem.

Być conajmniej szlachcicem i posiadać stosunki w sferach arystokratycznych.

Nade wszystko zaś mieć dużo pieniędzy.

Wylegitymowanie się ze szlachectwa nie było rzeczą trudną".

Wokulski jest oczywiście szlachcicem i to dobrym szlachcicem. Któryż z wielkich bohaterów naszej powieści nie był szlachcicem? Nawet najwięksi „ofiarnicy" z pośród inteligentów Żeromskiego są zawsze z podupadłej, sproletaryzowanej, ale tym nie mniej bardzo dobrej rodziny. To nie tylko potwierdzenie wzoru społeczno-obyczajowego inteligenta polskiego i wywód jego genealogii. Konwencja obyczajowa stała się z biegiem lat obowiązującą konwencją artystyczną. Inaczej po prostu nie wypadało! Podobnie na wielkich płótnach mistrzów renesansu i baroku, które podziwiać można w Pałacu Dożów, kobieta przedstawiająca alegorię Wenecji ma włosy niezmiennie złote, mimo, że Wenecjanki były i są ciemne.

Trzecim szczeblem finansowej kariery Wokulskiego był wyjazd do Paryża. Marzyciel i idealista został agentem międzynarodowego handlarza bronią, wielkiego moskiewskiego kupca Suzina. „Ja zarobię dziesięć procent i tobie dam dziesięć procent i sprawa skończona... Może być kupię trochę galanterii paryskich, a może kilkanaście statków kupieckich. A na co to, dla kogo i przeciw komu — nie pytaj... Najzupełniej legalny zysk z tej operacji był ogromny..."

Tak wyglądają kolejne rozdziały historii rozwoju społecznego. Podziwiam pisarza, który z warszawskiego partykularza w ósmym dziesiątku XIX stulecia dostrzegł zarysowującą się dopiero przemianę form gospodarki kapitalistycznej. Jak wielcy klasycy realizmu, którzy wznosząc się ponad powierzchowne prawdopodobieństwo sytuacji ukazywali główny nurt historii, Prus pokazał jak z małego sklepu kolonialnego z pierwszej połowy wieku, gdzie „pryncypał był ojcem i nauczycielem swoich praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu, jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami", wyrasta spółka do handlu z Cesarstwem, operująca kapitałami arystokracji, a z galanteryjnego kupca — handlarz bronią.

„Kto ma kopiejki — mówi Suzin do Wokulskiego w Paryżu — robi interesa kopiejkowe i kopiejki zyskuje, ale kto ma miliony musi zyskiwać miliony. Rubel, Stanisławie Piotrowiczu, jest jak zapracowana szkapa i kilka lat musisz czekać, zanim urodzi ci nowego rubla, ale milion jest mnożny jak świnia i co rok daje kilka..."

Prus sięgnął jeszcze głębiej. Pokazał — przetłumaczmy dzieje bohaterów na język ekonomii, jak z kapitału handlowego wyrasta kapitał finansowy, pokazał jego dwie naczelne cechy: anonimowość i ponadnarodowy charakter, pokazał jak swoim zasięgiem obejmuje całą Europę. I jeszcze: jak towar staje się tylko abstrakcyjnym znakiem, notowanym na giełdzie, którego rodzaj i nazwy są doskonale obojętne: perkaliki, czy galanteria, statki kupieckie, czy armaty. *Prus pokazał w „Lalce" początki imperializmu.* Ale tylko pokazał.

Dokąd dalej poprowadzić losy bohatera? Postępowy nauczyciel mieszczaństwa staje przerażony wobec obrazu, jaki sam roztoczył. To więcej niż „stracone złudzenia" pozytywistów w zbawienną moc oświaty, filantropii i wiedzy, to więcej niż rozczarowanie drobnomieszczaństwa do owego postępu cywilizacji, który usunąć miał niesprawiedliwości społeczne i zapewnić powszechny dobrobyt. Tutaj kończy się realizm „Lalki". Ideolog zwycięża pisarza. Prus nie ma odwagi losu swego bohatera domyśleć i doprowadzić do końca. Cofa się przed konsekwencjami krytyki kapitalizmu. Nie zdobędzie się na potępienie, ani na apologię bohatera.

Balzak, który równie bezwzględnie osądzał swoich bohaterów jak własne iluzje, Balzak, który nienawidził mieszczaństwa, napisałby inne zakończenie „Lalki". Oddałby Wokulskiemu pannę Izabelę i kazał by mu sobie kupić tytuł hrabiowski. Zrobił by z niego jeszcze jednego Nucingena, odarłby jak Rastignaka ze wszystkich złudzeń młodości, pokazał jak wyrasta w nim łajdak i porzucił jako milionera i przywódcę partii ugodowej.

A Sienkiewicz? Ten by dopiero napisał apologię Wokulskiego, pokropiłby go wodą święconą, kazałby mu odmawiać pacierze przed pójściem do łóżka z panną Izabelą i zrobiłby z niego narodowego świętego. Ale Sienkiewicz przecież napisał „Lalkę". W roku 1895 wyszła „Rodzina Połanieckich". Ale warunkiem tej nowej szlachecko-mieszczańskiej apologii kapitalizmu, pod hasłem: „lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi" mogło być tylko całkowite zatarcie konfliktu społecznego, zamazanie wszystkich realiów. Nie udało się to Sienkiewiczowi tak dobrze jak by sobie życzył, jego Wokulski zbija majątek na pasku zbożem w chwili klęski głodowej i dopuszcza do procesu o obalenie testamentu z zapisami na cele publiczne. Tym niemniej udawadnia Sienkiewicz, że dobry szlachcic może być także zręcznym kupcem i w dodatku zdobytym na handlu majątkiem podeprzeć zrujnowany dwór szlachecki. Połaniecki odkupuje folwark i razem z Marynią — „oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyna się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane służbie bożej z ludem — na roli". Z tego materiału realistycznej powieści nie udało się nikomu zrobić.

Prus — realista nie napisze apologii Wokulskiego. Ale Prus — wychowawca mieszczaństwa nie zdobędzie się na jego potępienie. Jeżeli Wokulski ma zostać pozytywnym bohaterem historii, musi zginąć, i to zginąć *z winy arystokracji*, albo wynaleźć metal lżejszy od powietrza. Prus oba te zakończenia pozostawia powieści. Zarysuje utopię naukową, a potem każe popełnić samobójstwo Wokulskiemu. A odpowiedzialnością za klęskę bohatera obarczy raz jeszcze pannę Izabelę Łęcką, przesądy stanowe, system arystokratyczny. „Umarł — w zakończeniu powieści powie doktór Szuman o śmierci Wokulskiego — przywalony resztkami feudalizmu".

Jan Kott

(ciąg dalszy nastąpi)

WIERSZE MŁODYCH POETÓW

EWA FISZER

Doświadczenie

Świadomość: nie jest prawdą, co nie boli. Wiedzmy,
że krew nie jest czerwona, że krew jest brunatna.
Inny jest popiół z kości, inny popiół z drzewa,
Nie obchodzi śmierć cudza, kiedy blisko własna.
Wiedzmy: głód był zwyczajny i brud był zwyczajny.
Chwytano się rozkazu jak źdźbła słomy w morzu
Patosu byś nie znalazł, ale znajdziesz bierność.
Wpojono, że jest słabość czymś lepszym od siły.
Został wstyd, że się żyje, i jest obowiązek.
Samotność tego kręgu nie przeminie nigdy.
Wpajane myśli ciążą nam dziś jeszcze, chociaż
Blaski poszły na strzały, a cienie na szarpie.

TADEUSZ KUBIAK

Ballada o moście Poniatowskiego

Ten most odjęty rzece, jak ciału Adama
siódme żebro, odrodził się i w śniegu zamarł.

Bowiem w ojczyźnie mojej smutnej nawet żelbet
ma w sobie coś z rośliny, przypomina wierzbę.

Zamierają wśród śniegu, w poprzek rzeki czarnej,
trzy siwe przęsła wspięte w skoku, jak trzy sarny.

Sztywnieją ponad smugą tramwajowych torów
łodygi lamp, niechętnie na się światła biorąc.

Gdy mróz styczniowy wodę w krę wysoką zaplótł,
gdy głodny ptak z szyn lśniących wyskubuje światło,

Gdy z Wielką Niedźwiedzicą na szybkach szofera
o zmierzchu — auto mija jak czas. I zamiera.

Jak wierzba nadwiślańska, jak trzy sarny leśne
most na śniegu wyziębły — obudzić go nie śmiem.

Uśpiony most w ojczyźnie trzydziestu milionów
opłakujących. Mostem tym wracam do domu.

Po czterech dziwnych latach świętokrzyskiej puszczy —
A most coraz to dalszy i coraz to pustszy.

W kraju odradzającym się z ziemi i wody,
z powietrza i obłoków — jestem znowu młody.

Rzeka w niebie odbita. Wracam. Na tym moście
dobiegło mnie wspomnienie straconej młodości.

Na tej jezdni wymarzłej, jak wierzby i sarny
odległej od dwóch brzegów spalonych i czarnych.

ANNA POGONOWSKA

***

Kiedyś śnieg mnie już nie nawleczę —
Tylko kamień szyty jest wiecznie
Gwiazdą białą i wiatrem.

Bryły katedr, koronki arkad
Prysną prochem przy końcu świata,
Gdy mój popiół krwią liści będzie.

Ciszę wątłą wzniesionej twarzy
Noc w zaklęte lustro zamraża
— Zwierciadełko odpowiedz mi —

JERZY E. MILLER

Epitaphium

W mych czasach odchodząca muza
żegnała śmierć pomników w gruzach,

dym zamiast cienia skrywał wierzby,
pocisk wykuwał płaskorzeźby.

Nocą na straży wróg tu uśnie
i ślady bujny mech zarośnie —
jego to przecież prawo słuszne
mogiły zmieniać na bezgłośne

Kto złoży myśli na twym grobie:
miłość i płacz jak ręce obie?

MIROSŁAW ORŁOWSKI

BILANS GOSPODARCZY 1946 R.

Wobec upływu już paru miesięcy od zamknięcia roku 1946 możemy przystąpić do próby oceny rocznego bilansu polskiego gospodarstwa narodowego za ten okres czasu. Przypominamy na wstępie, że był to pierwszy rok gospodarstwa pokojowego, rozpoczął się pod znakiem uchwalenia dwóch zasadniczych ustaw o upaństwowieniu podstawowych gałęzi gospodarstwa narodowego oraz o zakładaniu nowych przedsiębiorstw i popieraniu prywatnej inicjatywy w przemyśle i handlu. Ustawy powyższe spetryfikowały jedynie stan faktyczny, jaki kształtował się już w roku 1945. O ile ten ostatni był jeszcze okresem gospodarki wojennej (do 8. 5. 1945 r.), okresem obejmowania ziem stopniowo uwalnianych od wroga, okresem porządkowania ruin i zgliszcz naszego gospodarstwa narodowego, okresem niejako inwentaryzacji aparatu produkcji, komunikacji i wymiany, takiego, jaki n m po wojnie i okupacji pozostał, — o tyle rok gospodarczy 1946 był już pierwszym okresem odbudowy i rozbudowy tego gospodarstwa.

W roku tym coraz to wyraźniej zarysowują się główne linie polskiego systemu gospodarki planowej, systemu stanowiącego szczęśliwe powiązanie elementów socjalistycznej gospodarki uspołecznionej z elementami prywatno-gospodarczymi w postaci trójsektorowego (państwowego, spółdzielczego i prywatnego) modelu gospodarstwa narodowego. Wyrazem krzepnięcia tego systemu i krystalizowania się jego zasad było opracowanie już w pierwszym kwartale r. 1946 planu inwestycyjnego*) na II, III i IV kwartał tego roku, opracowanie i opublikowanie Narodowego Planu Gospodarczego oraz przystąpienie w końcu omawianego roku do prac nad planem finansowym Państwa.

Następnym znamieniem omawianego okresu jest stopniowy rozrost sektora uspołecznionego, zwłaszcza w zakresie wymiany. O ile w roku 1945 handel uspołeczniony, szczególnie państwowy, sprowadzał się głównie do akcji rozprowadzania jedynie artykułów pochodzących z rynku zreglamentowanego, po cenach sztywnych, o tyle w roku 1946 obserwujemy rozrost zarówno agend jak i obrotów tak aparatu handlu państwowego, jak i spółdzielczego.

Wystarczy tu przypomnieć szybki rozwój Państwowej Centrali Handlowej (PCH), która już we wrześniu 1946 r. osiągnęła obrót miesięczny 1.255 mil. zł., posiadając 100 placówek własnych i obsługując przeszło 48.000 placówek handlu prywatnego. Obroty zaś Zw. Gosp. Sp. R. P „Społem" wyniosły za rok ubiegły około 64,5 miliarda złotych! Doszło do tego, dość paradoksalnego na pozór stanu rzeczy, że handel uspołeczniony wypie.ał w ostatnim kwartale r. ub. — wykorzystując monopolistyczny niemal dostęp do źródeł produkcji uspołecznionej — handel prywatny, zwłaszcza hurtowy, co powodowało nawet pewne skutki na rynku pieniężnym w postaci wypierania z obrotów artykułami, pochodzącymi z produkcji uspołecznionej, kapitałów prywatnych, które nie mogąc na razie znaleźć intratnego zatrudnienia, gdzie indziej powodowały zwiększone ciśnienie „gorącego pieniądza" na rynku ze wszystkimi konsekwencjami, zwyżką walut na nielegalnym rynku, oraz cen na niektóre bardziej „chodliwe" artykuły przemysłowe.

Z drugiej strony sektor prywatno-gospodarczy ma do zanotowania taki sukces, jak zniesienie obowiązku świadczeń rzeczowych w rolnictwie, świadczeń, które w roku gospodarczym 1945/46 dały Państwu po cenach sztywnych 701.640 t zboża, 878.307 t ziemniaków, 7.871 t warzyw, 8.307 t strączkowych, 3.992 t oleistych, 9.642 t mięsa (żywca), 162,284.888 litrów mleka, 938.538 kg ryb, 118.499 kg w ełny i 514.454 kg jaj. Bardzo też pomyślnie rozwijała się produkcja przemysłowa prywatna, zwłaszcza w zakresie przemysłu metalowego i włókienniczego.

Wysoki jeszcze poziom cen na artykuły rolne i minimalne obciążenie podatkowe zapewniły w tym okresie rolnictwu krajowemu wysoką koniunkturę, co znalazło swój wyraz m. i. w chłonności rynku wiejskiego na wszystkie niemal artykuły przemysłowe oraz w żywym ruchu inwestycyjnym, finansowym we własnym zakresie z wygospodarowanych nadwyżek eksploatacyjnych.

Wreszcie zagadnienie transportu, będące w roku 1945 jednym z najkrytyczniejszych „wąskich przejść" naszego gospodarstwa narodowego, zostało w r. ub. w znacznym stopniu, przynajmniej w zakresie kolejnictwa — rozwiązane.

W tych warunkach udało się nam w drugiej połowie 1946 r. osiągnąć około 70% dochodu społecznego z okresu przedwojennego, obliczonego w stosunku do granic Rzeczypospolitej z 1939 r., a mniej więcej przeszło 50% takiegoż dochodu z terenów objętych obecnymi granicami Państwa. Jeszcze pomyślniej przedstawia się ten stan rzeczy, jeżeli porównamy dochód społeczny na głowę mieszkańca. Ten ostatni w r. ub. doszedł do 90% analogicznego dochodu na głowę obywatela zamieszkującego Rzeczypospolitę w granicach z 1939 r., a około 70% dochodu osiąganego na obszarze w granicach obecnych. Oczywiście jedynie miarodajne jest porównanie z dochodem przypadającym średnio na mieszkańca ziem polskich w stosunku do stanu terytorialnego w roku 1939.

Na tak wysoki, jak na czasy bezpośrednio powojenne, dochód społeczny złożyły się nie tylko wyniki naszego odrodzenia gospodarstwa narodowego, ale również i poważna pomoc z za granicy: w ramach akcji UNRRA, ze Związku Sowieckich Republik Radzieckich i innych krajów. Pomoc ta przekraczała ¼ wspomnianego osiągniętego dochodu społecznego. Wystarczy tu uprzytomnić sobie, że wartość świadczeń UNRRA dla Polski w roku 1946 wyniosła około 280 mil. dol. USA.

Po tej charakterystyce ogólnej omówimy poszczególne ważniejsze pozycje naszego bilansu gospodarczego za rok 1946.

PRZEMYSŁ WĘGLOWY:

Rok 1946 Miesiące	Wydobycie węgla w mil. ton	Wydajność na robotniko/dn. w tonach	Eksport w milionach	Zwały ton
I	3,6	0,939	0,72	1,5
II	3,3	0,949	0,73	—
III	3,8	0,949	1,51	—
IV	3,7	0,970	1,21	—
V	3,7	0,967	1,26	—
VI	3,5	0,976	1,24	0,8
VII	4,1	1,006	1,38	0,7
VIII	4,2	1,027	1,33	0,8
IX	4,2	1,041	1,27	0,9
X	4,5	1,066	1,19	0,5
XI	4,5	1,068	1,27	0,5
XII	4,2	—	—	—

Najbardziej charakterystycznym jest stały wzrost wydajności i fakt, iż wbrew przewidywaniom sceptyków i pesymistów, nasz przemysł węglowy osiągnął w r. 1946 produkcję 47.288 tys. ton, czyli przekroczył plan produkcji o 1,288 tys. ton.

O pomyślnej sytuacji w zakresie węgla świadczy rosnący eksport i malejące zapasy na zwałach, które to ostatnie spadły z 1,5 miliona ton w styczniu do 0,5 mil. ton w grudniu r. ub.

Hutnictwo żelazne osiągnęło w r. 1946 następujące wyniki:

	Plan	Wykonanie
	w tonach	
Koks	867.000	920.000
Surówka	675.950	727.000
Stal surowa	1,078.230	1,217.475
Wyroby walcowane	780.986	801.000

Najbardziej jednak charakterystyczne są wskaźniki produkcji najważniejszych artykułów przemysłowych, które przy przyjętej za podstawę (100) polskiej wytwórczości przedwojennej, wynosiły:

	Styczeń 1946 r.	Listopad 1946 r.
energia elektryczna	280	313
węgiel	113	140
surówka żelazna	86	107
stal	76	92
blacha	65	111
wyroby kute i prasowane	208	252
cement	46	100
lokomotywy	609	869
wagony	301	1.875
maszyny rolnicze	49	101
przewody elektryczne izolowane	39	107
żarówki	45	73
przędza włókiennicza	45	71
tkaniny	60	83

Jak widzimy z powyższego zestawienia, w całym szeregu wytworów produkcja przekroczyła poziom przedwojenny, co najbardziej jaskrawo widać na przykładzie lokomotyw i wagonów. I tu właśnie leży wytłumaczenie nadzwyczaj szybkiego opanowania u nas kryzysu transportowego w kolejnictwie.

Wreszcie, po tych paru przykładach, wypadnie omówić, w jaki sposób został sfinansowany powyższy rozwój i rozbudowa odrodzonego polskiego gospodarstwa narodowego.

Podobnie jak w r. 1945, główny ciężar sfinansowania tego poważnego rozwoju życia gospodarczego kraju leżał na centralnym banku biletowym, Narodowym Banku Polskim, pracującym według wskazówek naczelnych władz gospodarczych Państwa i Ministerstwa Skarbu.

Bank ten stojąc na straży stałości wartości nabywczej waluty, stosunków pieniężnych i kredytowych kraju prowadził wielo-płaszczyznową działalność. W ramach obrotów krajowych finansował bezpośrednio (niektóre przemysły państwowe) lub pośrednio (za pośrednictwem instytucji kredytowych, takich jak PBR, BGK, BGS, Bank Zw. Sp. Zarobkowych, Bank Handlowy, Polski Bank Komunalny itp.) całe życie gospodarcze Polski, starając się o dostosowanie strumienia pieniądza do strumienia dóbr i usług, dopuszczanych na rynek. W ten sposób, dzięki bardzo ostrożnej polityce emisyj antycypacyjnych, interweniując skutecznie w momentach groźnych zaburzeń w powyższej równowadze, zdołał Narodowy Bank Poleski przeprowadzić w tym okresie walutę krajową bez poważniejszych wstrząsów i zapewnić sprawną obsługę kredytową całego życia gospodarczego. Globalna suma kredytów udzielonych w tym roku przez ten bank wyniosła potężną kwotę 30.642 milonów zł., w tym 36% były to kredyty średnioterminowe inwestycyjne. Ogólna zaś suma kredytów udzielonych przez wszystkie banki wyniosła na koniec listopada 1946 roku (brak danych za grudzień): 69,178 mil. złotych. Interesujące szczegóły dotyczące tej działalności zostały opublikowane w Nr 1/1947 „Wiadomości Narodowego Banku Polskiego". Charakterystycznym jest w tym dziale gospodarstwa narodowego poważny wzrost wkładów w instytucjach kredytowych, zwłaszcza w porównaniu z rokiem 1945. oraz szybki wzrost kreacji pieniądza bankowego. Pomyślnym również był rozwój obrotu bezgotówkowego. Bezgotówkowe środki płatnicze wzrosły w r. ub. o 324%.

Zamykając powyższe wywody musimy stwierdzić, iż bilans polskiego gospodarstwa narodowego za rok 1946 wypadł pomyślnie i jest wyraźnie aktywny.

Mirosław Orłowski

*) Por. Ustawa z dn. 20. 9. 46 r. o planowaniu inwestycyj oraz o planie sfinansowania inwestycyj na okres od 1 kwietnia do 31 grudnia 1946 r. Dz. Ust. Nr 56 poz. 318 za 1946.

PLAN I WYKONANIE

Oglądając witryny księgarń z ciekawością śledzimy pojawianie się nowych okładek. Jeśli myśli się o planie wydawniczym, myśli się w pierwszym rzędzie o wznowieniu klasyków. Pisząc o tym planie wskazano słusznie na gotowy już schemat Biblioteki Boya. Schemat ten wypełnia dziś częściowo Sp.Wyd. „Książka", która wydała „Kubusia fatalistę" Diderota i przystąpiła do wznowień Balzaca, zaczynając od najwspanialszego cyklu „Komedii ludzkiej" — „Straconych Złudzeń".

Można kwestionować narzucanie wzoru balzakowskiego współczesnym pisarzom jako recepty na dzisiejszą twórczość. Można uznawać konieczność rozszerzenia zakresu zainteresowań klasykami obcymi poza teren zakreślony szeroko gigantycznym wysiłkiem Boya — tłumacza. Wątpię jednak, aby znalazł się ktoś, ktoby poddawał w wątpliwość potrzebę i słuszność utrzymania stworzonej przez Boya tradycji, wypełnienia luki powstałej przez fakt, że biblioteka jego przekładów nie jest dziś na ogół do nabycia na rynku księgarskim. Wzór jest, jak zaznaczyliśmy, gotów. Stanowi ze wszystkich prób przyswojenia językowi polskiemu arcydzieł literatury obcej — próbę najdoskonalszą. Na równi z dorobkiem klasyków polskich nadawał się do uprzystępnienia. Podjęcie wznowień dzieł z Biblioteki Boya przez „Książkę" jest potrzebnym i doniosłym przedsięwzięciem kulturalnym.

Historia Lucjana Rubempré, opowiedziana w trylogii, na którą składają się powieści: „Dwaj poeci", „Stracone złudzenia" i „Cierpienia wynalazcy", jest niewątpliwie jednym z głównych konarów rozłożystego drzewa balzakowskiej „Komedii ludzkiej". Wśród najbliższych jego rozgałęzień, w orbicie tych samych układów postaci z bogatej balzakowskiej galerii, znajduje się „Ojciec Goriot", „Blaski i nędze życia Kurtyzany", „Ostatnie wcielenie Vautrina", „Eugenia Grandet", „Muza z zaścianka". Swobodne poruszanie się w tym świecie starych, paryskich uliczek, niepoprzecinanych jeszcze szerokimi bulwarami z czasów Drugiego Cesarstwa i w zaułkach francuskiej prowincji pracującej na wspaniałość późniejszej schedy mieszczaństwa, — wymaga pewnej wprawy. Balzac nie jest lekturą dla osiemnastolatków i zapewne nigdy nią nie będzie. Trudno jednak wyobrazić sobie wiedzę o okresie historii, który przedstawił, z pominięciem lektury tego dzieła, gdzie namiętności ludzkie i mechanizm życia zbiorowego odnalazły tak niepowtarzalne źwierciadło.

Podniosły się jednakże pewne zastrzeżenia w związku z reedycją Balzaka. Jeden z pisarzy na Zjeździe Literatów wyraził obawę, czy danie do ręki czytelnikowi powojennemu w pierwszym rzędzie książek pisarza, który był analitykiem natury ludzkiej, a nie ukazał jakiegokolwiek jej wzoru idealnego, jest właściwym w chwili obecnej. Zastrzeżenia te nie wydają się słuszne. Pokazując człowieka takim, jakim jest, w związkach, których pominięcie skrzywia i zniekształca obraz życia, Balzac nie czyni niczego, aby sztucznie ubarwić rzeczy, które pokazuje. Podaje surową wiedzę o świecie, jaki zobaczył, zgodnie z zasadą, która nie zakreśla granic poznaniu i rozumieniu spraw ludzkich, lecz stara się je dojrzeć i przeniknąć bez względu na to, ile jeszcze jest w nich ścieżek niejasnych i tajemniczych. Balzac jest potrzebny dzisiejszemu człowiekowi, gdyż należy do łańcucha tradycji, którą możnaby nazwać tradycją postawy racjonalistycznej w rozwoju literatury europejskiej. Tej postawy, do której odnoszą się słowa René Maublant, jakie znajdujemy w ostatnim numerze paryskiej „La Pensée" (R. Maublant — „L'attitude rationaliste"):

„...racjonalista to człowiek, żywiący odrazę do tego, co niezrozumiałe, niejasne, niedorzeczne, co nie zadawala się tajemnicą, przyjmuje to tylko, co rozumie w sposób jasny i wyraźny, odrzuca przekonanie, że idea jest tym prawdziwsza i tym piękniejsza, im bardziej przeciwna zdrowemu rozsądkowi i doświadczeniu. To człowiek, który ma nieograniczone zaufanie do potęgi ludzkiej myśli i do skuteczności ludzkiego działania, nie uznaje żadnych pęt ani ograniczeń w jego poszukiwaniu prawdy, nie okazuje szacunku żadnemu tabu, nie skłania rozumu przed żadnym autorytetem ani ludzkim ani nadludzkim, ani naturalnym ani nadnaturalnym... Wszelkie ograniczenie tego wysiłku zrozumienia świata, wszelki zakaz pójścia dalej w poszukiwaniu prawdy, wszelki apel do niezgłębionych tajemnic, do nierozumowanej wiary, zastępującej swobodną krytykę, do narzuconych lub objawionych dogmatów, przed którymi winna skłonić się nauka, były to w dziejach jedynie przeszkody i więzy na drodze do wyzwolenia człowieka."

Szkodliwą, niebezpieczną może być tylko literatura świadomego kłamstwa. Wszelkie poszukiwanie prawdy, wszelkie do niej zbliżenie w dziele literackim to nowa zdobycz człowieka, która należy doń niepodzielnie i jest jego narzędziem w walce o następny etap poznania.

Ryszard Matuszewski

LEON PASTERNAK

RZEŹ NIEWINIĄTEK

Stron 127

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

1946

KAROL SZYMANOWSKI 21. IX. 1882 – 29. III. 1937

O MUZYKĘ DO „SUŁKOWSKIEGO"

opracował i podał do druku Stanisław Golachowski

W dziesięciolecie śmierci Karola Szymanowskiego, kompozytora, którego twórczość łączyły liczne więzy z współczesną mu literaturą polską, przypominamy — w oparciu o zachowane materiały biograficzne — ciekawy epizod, dotyczący jego — nieudanej niestety — współpracy artystycznej ze Stefanem Żeromskim. Przytoczone poniżej wypowiedzi Szymanowskiego stanowią bardzo typowy przykład, jak ocenia dzieło literackie kompozytor z punktu widzenia potrzeb swojej sztuki. Jako materiał służyć nam będą trzy listy Szymanowskiego do Żeromskiego oraz fragmenty artykułu p.t. „O muzykę do Sułkowskiego", napisanego przez kompozytora w roku 1925 dla „Wiadomości Literackich" do numeru poświęconego Stefanowi Żeromskiemu. Listy Żeromskiego do Szymanowskiego nie zachowały się.

Po ukończeniu „Sułkowskiego" Stefan Żeromski przyszedł do wniosku, że niektóre sceny dramatu wymagają dopełnienia ilustracją muzyczną. Z propozycją napisania muzyki zwrócił się w roku 1910 do Karola Szymanowskiego. Młody, 27-letni kompozytor, należał podówczas do grona tzw. „Młodej Polski w muzyce", której działalność w naszym — zachowawczo-nastrojowym — świecie muzycznym nie miała zbyt dobrej opinii. Silne ciążenie ku muzyce Wagnera i Ryszarda Straussa, charakteryzujące ówczesną „młodopolską" twórczość muzyczną, dyskwalifikowały ją w oczach naszej krytyki, która wolałaby ją widzieć na śladach Moniuszki, Żeleńskiego czy Noskowskiego Dziś, z pewnej perspektywy historycznej, wiemy już, że dla Szymanowskiego okres tej zależności od muzyki niemieckiej, był zjawiskiem przejściowym, choć koniecznym dla odrobienia zaległości w postępie naszej muzyki.

W momencie, w którym Żeromski wystąpił z propozycją współpracy, kompozytor nasz nie cieszył się w kraju ani popularnością, ani uznaniem. Przeciwnie — po okresie sukcesów, jakie odnosił na koncertach „Młodej Polski" w latach 1906--, wokół jego twórczości zaległa teraz cisza. To też niewątpliwie musi nas zaciekawić fakt, że znakomity pisarz wybrał właśnie Szymanowskiego „modernistę", a nie kogoś z pośród bardziej układnych kompozytorów starszego pokolenia. Zdaje się to świadczyć o doskonałej orientacji Żeromskiego w sprawach muzyki. Wybrał od razu najbardziej utalentowanego kompozytora i od tego wyboru nie odstąpił.. Jak zobaczymy, Szymanowski nie chciał podjąć się zadania napisania muzyki do dramatu Żeromskiego. Wahania kompozytora, które wynikały głównie z przekonania, że w „Sułkowskim" nie ma po prostu miejsca na muzykę, jakby utwierdzały Żeromskiego w przekonaniu, że nikt inny nie zdoła spełnić tego zadania. Kiedy po pierwszej wymianie korespondencji, na wiosnę 1910 roku, Szymanowski długo nie odpisywał na listy Żeromskiego, niezrażony milczeniem pisarz raz po raz przypomina kompozytorowi o swojej prośbie. „Od Żeromskiego miałem trzy miłe listy" — pisze Szymanowski w liście do Stefana Spiessa, w sierpniu 1910 roku, — „ w tym rodzaju, że wprost nie mogę mu odmówić tej muzyki". W rezultacie muzyki nie napisał, ale nie napisał jej też nikt inny. Możliwe, że argumenty muzyczne, wytoczone przez Szymanowskiego skłoniły Żeromskiego do porzucenia myśli o ilustracji muzycznej do dramatu.

Warszawa, 11.IV. 910

Szanowny i drogi Panie.

Nie potrzebuję mówić jaką wielką radość sprawił mi list Pana i, wogóle, zwrócenie się do mnie w sprawie tak ściśle związanej z Panem i z Pana pracą, która, nie umiem wypowiedzieć, jak mi jest drogą. Przepraszam zarazem, że nie napisałem do Pana natychmiast po rozmowie z Dr. Radziwiłowiczem, ale w parę dni po niej musiałem wyjechać na dłuższy czas do domu na Ukrainę i od niedawna dopiero jestem z powrotem w Warszawie. Naturalnie że z największą radością zgadzam się zasadniczo na propozycję Pana, pozostawiając sobie jednak ostatnie słowo, aż do czasu, gdy po dokładnem przeczytaniu, niejako zżyciu się z Tragedyą Pana, zdam sobie jasno sprawę, o ile potrafię spełnić powierzone mi zadanie.

Nastręczają się jednak zupełnie zewnętrzne trudności, o których muszę wspomnieć. Pan wie że ja należę do, niewiem dlaczego, tak u nas nazywanych (notabene pogardliwie) „modernistów" w muzyce; jest to prawie jednoznaczne z tem, że ja wogóle pragnę pisać dobrą muzykę a nie złą, t. j. równie dobrze opanować ją technicznie jak uczuciowo. Zrozumie Pan że w tym wypadku niepodobna wprost nałamywać się do ram, w jakich, z powodu braku dobrej orkiestry i wykonawców, mieści się muzyka „antraktowa" naszych przedstawień dramatycznych. Zauważył Pan zapewne, jakie gałgaństwa wygrywają choćby przy dramatach Wyspiańskiego w Krakowie. Otóż gdy ja napiszę muzykę, w mojem, a przypuśćmy nawet w Panu przekonaniu, jak najlepszą, to, boję się, że rezultat będzie taki iż jej wcale grać nie będzie można. Niestety, ale trzeba i nad takiemi względami się zastanowić. W każdym razie oczekuję z największą niecierpliwością na Tragedyę, którą, niech Pan będzie łaskaw (jak również ewentualną odpowiedź na ten list) skierować pod adresem Gebethner i Wolff (w Warszawie) gdyż ja zapewne wkrótce wyjadę, niewiem jeszcze napewno gdzie, i Tam przyślę swój adres. Mam malutką nadzieję że mi się uda może pobyć jakiś czas w Paryżu (w końcu maja).

Karol Szymanowski

Jakżebym się cieszył, gdybyśmy mogli wówczas szerzej o tem wszystkim pomówić. Tymczasem załączam wyrazy najgłębszego szacunku i serdeczny uścisk dłoni

Karol Szymanowski

•

Była niezapomniana chwila w mojem życiu, gdy los zbliżył mnie do Stefana Żeromskiego — więcej nawet: postawił tuż obok, w kole Jego marzeń i zamierzeń twórczych, niemal jako współtwórcę...

Jakże żywo stoi mi w pamięci ów dzień (było to w 1910 czy 1911 r.) — gdy pewnego wiosennego poranku w Neapolu przyniesiono mi z poczty paczkę i list. Był to egzemplarz świeżo wówczas wydanego „Sułkowskiego" i propozycja Autora napisania muzyki, bez której — jak pisał — nie wyobraża sobie przedstawienia tragedii, zwłaszcza zaś I i V aktu.

List ten napełnił mię dumą i szczęściem. Wczytywałem się w książkę ze wzruszeniem. Wracając do kraju dążyłem po śladach bohatera; spędziłem jakiś czas w Weronie, w Wenecji..

Niebawem wokół całej sprawy wywiązała się między nami ożywiona korespondencja. Szereg niezapomnianych listów Stefana Żeromskiego był dla mnie drogą pamiątką... („O muzykę do Sułkowskiego").

Tymoszówka 11.VII. 910

Szanowny i drogi Panie.

Wstyd mi ogromnie, że tak długo nie pisałem do Pana z podziękowaniem za przysłanie mi „Sułkowskiego". Książka dziwnym trafem, po długich wędrówkach po różnych „Ferma in Posta", doszła mię aż w Neapolu, gdzie ją po raz pierwszy przeczytałem. Wpłynęła ona nawet na zmianę planu mojej podróży, zwiedziłem bowiem w powrotnej drodze Mantuę i Weronę. W domu na wsi jestem dopiero od kilku dni, czem się tłumaczy mój list spóźniony, kilkudniowe bowiem pobyty w włoskich miastach, a następnie w Wiedniu, Krakowie, Lwowie i Warszawie niepozwoliły mi się zastanowić głębiej nad tą kwestyą. I dziś niestety, pomimo powtórnego przeczytania „Sułkowskiego", pomimo kilku nieudanych muzycznych prób, nie mogę jeszcze nic stanowczego powiedzieć.

Ja się znajduję w dziwnym stosunku do dzieł Pana: przejmują mię one tak głęboko, że każde z nich kolejno pobudza w niesłychany sposób i moją twórczość; tak było z Arymanem, Walgierzem, Dumą o Hetmanie, Popiołami, — niestety jednak, zawsze kończyło się na niczem; (że nie liczę pewnych pośrednich oddziaływań, których, w intymnej historyi powstania niektórych moich utworów, znajdzie się niejedno). Sądzę, że z pewnego punktu widzenia, można mi to policzyć jako plus, — jest to bowiem wyraz pietyzmu dla skończonego w sobie dzieła p o e t y c k i e g o. Brak takiego pietyzmu muzyków dla niektórych arcydzieł, dał się już nieraz boleśnie (a raczej komicznie) odczuć (Muzyka do „Fausta" Gounod'a, do „Hamleta" Thomasa, do „Balladyny" Żeleńskiego). W obecnym wypadku utrudnia mi jeszcze zadanie forma, w której jeszcze nie próbowałem się wyrażać, mianowicie — muzyka do dramatycznego przedstawienia (to co popisał Wyspiańskiemu Bol. Raczyński, to wprost horrendum!).

Zasadniczo uznaję to w zupełności. Chociażby w pojęciu cudownej uwertury do „Fausta" R. Wagnera; lecz ja nad tem nie pracowałem i musiałbym, że tak powiem, wypracować sobie pewien styl. Nie odmawiając i tym razem stanowczo, prosiłbym o parę słów wiadomości, czy mógłby mi Pan określić w przybliżeniu termin wystawienia „Sułkowskiego" i, czy w żadnym razie bez muzyki Pan go nie wystawi?

Znajduję się bowiem w przykrej sytuacyi: zawsze i z największą radością chciałbym Panu służyć, jak mogę i umiem, a przez swoje, może zbytnie, skrupuły boję się Pana narazić na jakieś nieprzyjemności. Oczekując więc paru słów odpowiedzi i przepraszając za niezmiernie długi list łączę wyrazy najgłębszego szacunku i poważania.

Karol Szymanowski

Mój adres:
Kiewskaja gub.
St. Kameńka Już. Z. Ż. D.
Im. Timoszewka.
Lepiej adresować po rosyjsku, bo pewniej dojdzie.

•

Warszawa 1.II. 911
Instytutowa 6.

Szanowny i drogi Panie.

Przyjechałem zaledwie przed kilkoma dniami do Warszawy — zastałem tu Pański list, ztąd znów zwłoka w odpowiedzi za którą przepraszam. W ubiegłej jesieni i zimie byłem tak pochłonięty doprowadzaniem do końca różnych, zaczętych już utworów, że o niczem nowem myśleć nie byłem w stanie. Nie znaczy to jednak bynajmniej, bym miał się zupełnie pożegnać z myślą o „Sułkowskim". Ponieważ mi Pan nadmienił w jednym z swych listów, iż o określony, blizki termin Panu nie chodzi, uspokoiłem się tem i odłożyłem głębsze zastanowienie się nad tą kwestyą aż do ukończenia prac, zaprzątających wtedy mój umysł. Niestety, wszelka praca muzyczna postępuje u mnie nadzwyczaj wolno, pracuję też zwykle nad kilkoma rzeczami jednocześnie. Wykończenie więc jakiegoś utworu w określonym przeciągu czasu wydaje mi się bajką o żelaznym wilku i jest dla mnie zgoła niemożliwem.

Chcę teraz zacząć od ponownego wczytania się w „Sułkowskiego" by sobie wyrobić jasne pojęcie, jaką powinna być muzyka. Wówczas pozwolę sobie obszernie o mych wrażeniach do Pana napisać. Tymczasem kończę już łącząc serdeczne pozdrowienia i wyrazy głębokiego szacunku.

Karol Szymanowski

Jednak muzyki do „Sułkowskiego" nie napisałem. Dlaczego — postaram się to uzasadnić,, jak to uczyniłem wówczas, pisząc ostatni mój list do Żeromskiego.

Dla mnie — jako dla muzyka — dzieła poetyckie dzielą się na dwie zasadnicze kategorie. Są dzieła, które dopiero w atmosferze muzyki nabierają prawdziwego życia i wyrazu, i inne, tak po brzegi wypełnione swoistą muzyką słowa i myśli, iż wszelkie wysiłki kompozytora, by uzupełnić to, co w istocie swej żyje organicznem niemal, samowystarczalnem życiem, staje się beznadziejną, syzyfową pracą. (Dotykam tu zlekka istotnego zagadnienia: stosunku muzyki do poezji. Ileż w tej dziedzinie możnaby naliczyć bezkarnych oburzających wandalizmów, zwłaszcza jeśli chodzi o arcydzieła dramatu).

Czy ten „muzyczny" podział świadczy jedynie o charakterze stosunku poety do własnego tworzywa, czy też stanowi pewną hierarchję wartości, nie wiem, skłaniam się jednak osobiście do ostatniej hipotezy. Dlaczegóż Słowacki, w istocie swej najbardziej „muzykalny" z romantyków, pozostał niemal całkowicie poza sferą oficjalnej, kompozytorskiej muzyki? Był bowiem właśnie sam najbardziej ‚muzykalny".

Wgłębianie się w tą „potencjonalną" niejako muzykę tekstu „Sułkowskiego" postawiło mię odrazu wobec nierozwiązalnego zagadnienia: niemożliwej do osiągnięcia „kongenjalności" — czyli walki na śmierć i życie przed forum publiczności pomiędzy istniejącą już potęgą „słowa" a równie wielką, nad wyraz bezpośrednią siłą muzyki, gdyby — wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu — udało mi się ją stworzyć na równie wysokim poziomie. Drugim wyjściem było zawieszenie nic nieznaczących świecideł i brzękadeł muzycznych na czemś, co jest samo w sobie skończonem pięknem.

Ileż bezpłodnych rozmyślań strawiłem nad ostatnim aktem tragedji. Gdzież to miałem szukać muzyki, któraby prawdziwym była wyrazem ostatniej Sułkowskiego z Venturem rozmowy o sprawach już ponad życiem stojących? Skąd czerpać melodje i harmonje, któreby się stały nieomylnym drogowskazem na ścieżkach wieczności — po których już zdąża bohater, — a nie mącącym melodję słowa, dolatującym z ziemi, niepotrzebnym szmerem?

Goryczą napełniało mnie poczucie niemocy. Jednak rzetelność artysty wskazała mi jedyną słuszną drogę, i dziś jeszcze wiem napewno, iż była ona jedyną i słuszną.

Odpisałem Stefanowi Żeromskiemu, iż muzyki tej napisać nie mogę, — może w przyszłości, gdy naprawdę poczuję się na siłach. I do dziś dnia z myślą tą się nie rozstałem. Pozostanie mi jednak na zawsze głęboki, osobisty żal, iż jedynej rzeczy, o którą mnie prosił Żeromski, nie zdążyłem spełnić za jego życia... („O muzykę do „Sułkowskiego").

Ostatni list Żeromskiego, o którym wspomina Szymanowski, widocznie zaginął. Z wywodów kompozytora wynika jasno, że w „Sułkowskim" mimo starań nie udało mu się znaleźć punktu zaczepienia dla muzyki. Zrozumiał, że środkami muzycznymi niczego nie da się tam dodać czy uwypuklić. Kiedyś po nieudanej próbie napisania muzyki do utworów Iwaszkiewicza, określił je w liście do poety, że są one „zamkniętym w sobie kołem, same sobie zupełnie wystarczają i nie kryją w sobie nic, coby dopiero za pomocą muzyki trzeba było wydobywać". Tu sytuacja była podobna. Poza tym kompozytorzy naogół niechętnie wybierają dzieła poetyckie, zawierające w sobie silny ładunek intelektualny, jak to ma miejsce właśnie w „Sułkowskim". Raczej szukają tekstów emocjonalnych, gdzie muzyka zawsze może znaleźć pole do popisu.

W dziejach tej nieudanej współpracy artystycznej, jeszcze jedna sprawa wymaga omówienia. Gdy Żeromski zwrócił się do Szymanowskiego z projektem muzyki do „Sułkowskiego", twórczość kompozytora znajdowała się jak najdalej od muzyki programowej, a więc i od ilustracyjnej muzyki teatralnej. Dopiero w czasie Wojny Światowej 1914 — 1918, twórczość Szymanowskiego poprzez impresjonizm zbliżyła się do muzyki programowej. Po wojnie powstają też dwie ilustracje teatralne Szymanowskiego: balet „Mandragora", stanowiący wstawkę do komedii Moliera „Mieszczanin szlachcicem" oraz do V aktu „Kniazia Patiomkina" Tadeusza Micińskiego.

PAWEŁ HERTZ

SEDAN

(Ciąg dalszy)

DOKTÓR W. wytarł ręce, skinął mi lekko głową na pożegnanie i wyszedł z gabinetu pozostawiając mnie przed oknem. W tej niespodziewanej samotności przypomniałem sobie nagle dni późnego dzieciństwa, gdy pocierając zręcznie termometr, symulowałem temperaturę i chorobę, by nie pójść do szkoły. W ten sposób uzyskiwałem kilka razy w miesiącu możliwość samotnego przebywania w wielkim mieszkaniu rodziców. Gdy tylko upewniłem się, że wszyscy już wyszli z domu, zakradałem się do pokoju matki i szperałem w jej biurku, odczytując stare listy, notatki w kalendarzach z dawnych lat i inne dokumenty mijającego czasu. Lubiłem, zatrzymując się na jakiejś cyfrze, dacie lub słowie, wybiegać naprzód lub cofać się, rekonstruując w sposób fantastyczny wszystko, co rzekomo mogło się dziać w czasie i przestrzeni poprzez które biegła moja wyobraźnia z opaską marzenia na oczach. Wiele troski w owe lata poświęciłem na zacieranie śladów mojej niedyskrecji, to też niebawem doszedłem do iście złodziejskiej wprawy.

Na biurku doktora, oprócz metalowej lampy brązowej, popielnicy i brzydkiego przyboru do pisania, nie było nic więcej. Ale w szufladzie, w zamku tkwił niewielki kluczyk i być może nie trzeba było nawet go przekręcać; starczyło pociągnąć za metalową gałkę nad zamkiem, by szuflada udostępniła całą swoją zawartość. Chwilę trwałem niezdecydowany, wreszcie szybko wyciągnąłem szufladę i ujrzałem w niej teczkę płócienną, na której było wypisane moje nazwisko i imię. W teczce leżały w idealnym porządku wszystkie dokumenty dotyczące mojego ciała, wszystkie wyniki dotychczasowych badań, łącznie z arkuszem na którym widniało kilka rzędów urywanych zdań, zakończonych jednym tylko słowem: Sedan. Pod tym arkuszem leżało jeszcze kilka czystych ćwiartek papieru, przygotowanych zapewne przez doktora na wypadek szczególnego gadulstwa chorego. Wydobyłem jedną z tych ćwiartek i schwyciwszy leżące na biurku pióro, skreśliłem szybko kilka zdań, których według mojego mniemania nie mogło brakować w tak dokładnej ewidencji, jakiej doktór poddał moją osobę. Zdania te w wielkim skrócie informowały doktora o ekonomicznych dziejach mojej rodziny, oznaczały dość dokładnie gatunek do jakiego należało ją zaklasyfikować, wskazywały rząd i grupę — użyłem schematu znanego mi z historii naturalnej. Potem dopisałem jeszcze dane dotyczące rozlokowania źródeł dochodu mojego ojca, zwróciłem uwagę doktora W. na to, że fabryka stworzona rękami mojego pradziadka, prowadzona osobiście przez mojego dziadka i przekazana skolei jego dwum synom — mojemu ojcu i mojemu stryjowi — przeszła w pewnej chwili na mocy ilościowego stosunku akcji pod zarząd faktyczny spółki akcyjnej, poczem została przejęta przez kapitał zagraniczny. Wreszcie dopisałem jeszcze zdanie, w którym tłumaczyłem doktorowi, iż wobec zauważonego przeze mnie braku danych, dotyczących topografii ekonomicznej mojej osoby, dotychczasowe wyniki jego badań, jeśli nie są fałszywe, to w każdym razie wymagają poważnej korekty. Składając papiery do teczki i zasuwając szufladę byłem zadowolony, że dodałem nieco światła do nieskładnych, niepowiązanych zdań, zakończonych słowem: Sedan. Niech nikt się nie dziwi mojemu zadowoleniu. Byłem jak dziecko, które w tłumie zachwyconych lub udających zachwyt gapiów zawołało ze zdziwieniem: król jest nagi. Ten okrzyk będzie mnie prześladował jeszcze przez dwa lata, aż do dnia, gdy niewiedza jednych i obłuda innych ustąpią miejsca ogólnemu przerażeniu. Aż do dnia wojny. Nie wyobrażałem sobie, rzecz prosta, że to ja tylko jeden zrozumiałem znaczenie tajemnej, złotej nici, wiążącej człowieka z jego źródłem utrzymania, z jego rodzinnymi przywilejami, z jego klasowymi prawami i obowiązkami. Jakkolwiek nie wykonywałem żadnych obowiązków, to jednak prawa moje były zagwarantowane i korzystałem z nich automatycznie. Byłem wpleciony, jak więzień inkwizycji, w złote koło poruszającej się niezależnie od mojej woli, precyzyjnej maszyny świata, w której kręciły się również kółka ze stali, a nawet i z mniej szlachetnych stopów. Zdawałem sobie sprawę, że są tacy ludzie, którzy doskonale rozumieją ten skomplikowany mechanizm, ale nie wiedziałem gdzie ich szukać, a nawet, przyznaję, nie chciałem ich znaleźć. Gdybym znalazł poparcie dla moich ówczesnych myśli, musiałbym niezwłocznie rozpocząć takie działanie, które by zgadzało się z moimi myślami. Ta właśnie konsekwencja, jakiej domagał się rozsądek, wydawała mi się nużąca i w gruncie rzeczy bezcelowa. Nawet dziś, gdy wielka rzeka czasu wyrzuciła mnie na brzegi, gdzie otaczający mnie ludzie od świtu do nocy wykonują celową pracę, przyjaźnie spełniając utajoną i wstydliwą niegdyś myśl o zerwaniu złotych nici, nawet dziś chwytam się niekiedy na tym, że w środku dnia lub w nocy zatrzymuję się nagle i przez chwilę przyglądam się wykonanej już pracy z niechęcią a czasem — z obawą; bo choć to co czynią i co ja czynię wraz z nimi zyskuje pełny poklask mojego rozsądku, to jednak zgubny instynkt widza, który we mnie przetrwał, każe mi zastanawiać się nad potrzebą wykonywanych prac. Te chwile uważam za chwile klęski, za czas utraty czujności i rozsądku, za zdradę gorzko okupionego doświadczenia.

Tok mojej opowieści, przerwany rozmyślaniami, które dodadzą może nieco blasku wczesnej młodości rówieśnego mi pokolenia, winien jednak płynąć dalej. Wolno mi, jak architektowi planującemu sztucznie zdziczałe ogrody, prowadzić bieg rzeki, która da wilgoć ich drzewom, przez płaskie trawniki, wolno mi spiętrzyć w jej łożysku niewysokie skały, by rzeka spadała z nich kaskadą i wolno mi wreszcie przerwać niespodzianie jej ziemski nurt, ukryć go niżej korzeni drzew, pod warstwą gliny i żwiru po to, by nieoczekiwanie wypłynął znowu na światło dnia. Ktokolwiek — architekt sztucznie zdziczałych ogrodów, czy ten, kto ze smutkiem przypatruje się tej rzeczce — wie napewno, że mimo wszelkie przeszkody i skręty, biegnie ona ku wielkiemu, wspólnemu celowi wszelkich potoków i rzek. Dlatego ukryty tok opowieści powinien płynąć teraz znowu w świetle dnia.

Po uzupełnieniu danych, dotyczących mojej osoby, wyszedłem z gabinetu i wróciłem do siebie. Lojalność doktora W. była godna podziwu. Na stole bowiem znalazłem te wszystkie przedmioty, które mi odebrano pierwszego dnia po moim przybyciu do sanatorium. W szlachetnym geście przywracającym mi dziedzictwo dwudziestu wieków ludzkiej wynalazczości, potrzeby i walki z naturą, poznałem obojętną tolerancję liberalnego psychiatry. Gdy tak patrzyłem na odzyskany świat rzeczy drobnych, usłyszałem dzwon bijący z pobliskiego kościoła. Wyjrzałem przez okno. Daleki zegar elektryczny, zawieszony jak tarcza ochraniająca przed niespodziewanym uderzeniem czasu — jeśliby czas kiedykolwiek zechciał uderzyć w niewielki sklepik zegarmistrza—wskazywał tę samą godzinę, którą obwieszczał dzwon.

Spojrzałem na mój płaski, niklowy chronometr. Tylko jedna drobna wskazówka obiegała cierpliwie przestrzeń, jakgdyby wykreślając krąg sekund. Inne, nieruchome, przecież się poruszały, bo wskazywały teraz tę samą godzinę, jaką zwiastował dzwon i elektryczny zegar. Śmieszny, czerwony tramwaj przesunął się między ramami okna; kobieta z dzieckiem szła ulicą, równolegle do jadącego wozu. Tramwaj zasłonił ich na chwilę, potem ukazali się znowu, przyśpieszyli tylko nieznacznie kroku, jakgdyby chcieli dogonić uciekający czas, ale już po chwili, zniechęceni, wrócili do dawnego tempa. Spojrzałem na zegarek — wszystko to odbyło się w ciągu chwili, prawie niedostrzegalnie, ale tymczasem wielka wskazówka zmieniła wyraźnie swoją pozycję. Przyłożyłem zegarek do ucha — szedł miarowo, odgłos uderzeń mechanicznego serca był równy i monotonny. Przyłożyłem rękę do piersi, gdzie zgodnie z anatomią mieści się serce. Biło nierówno, spieszyło się, to znów opóźniało, jakby niechętne tej sile, która wprawiła je w ruch. Ogarnęło mnie nagle poczucie, że mechanizm zegarka, wykonany ręką ludzką jest bardziej precyzyjny.

Opasując starannie przegub lewej ręki jasnożółtym rzemyczkiem na którym był osadzony chronometr, spojrzałem skolei na następny odzyskany przedmiot. Była to srebrna zapalniczka; jej powierzchnia we wzory, jak wafel, nie odbijała śladu palców właściciela. Ta celowość zdobyła moje uznanie, umieściłem pożyteczny, prometejski przyrząd w górnej, lewej kieszonce kamizelki. Smukłe wieczne pióro, napełnione niebieskim atramentem, czekało cierpliwie białej kartki papieru, ale nie miało zostać użyte ani nazajutrz ani dni następnych, w ciągu wielu jeszcze miesięcy, aż do chwili, kiedy to historia sama rozwiązała nasze nieme języki i pozwoliła notować dla porządku strzępy myśli, ulotne wspomnienia straconego czasu i pozostawionej za sobą przestrzeni. Zapewne wielu nie zechce czytać naszych notatek, przypuszczając naiwnie, że są to elegie na dobra utracone, na zmarnowaną młodość, treny po świecie minionym, po niegdyś ulubionych miejscach i wspomnieniach. Ci, którzy nie zechcą nas czytać, bo nie lubią elegii, mylą się bardzo w swojej pysze. Należy bowiem korzystać z każdego doświadczenia, zwłaszcza jeśli było ono tak gorzkie i żałosne jak nasze. Zatknąwszy skazane na bezużyteczność pióro w wewnętrzną kieszeń marynarki, zacząłem przeglądać pozostałe przedmioty, klasyfikując je według ich właściwości i przeznaczenia. Oto kieszonkowy plan miasta, gdzie niedawno mieszkałem; na planie czerwonym ołówkiem zakreślone są ulice mojej radości, zaś czarnym — ulice smutku. Oglądam plan ze zdziwieniem, widzę bowiem, że piękne dzielnice śródmieścia noszą kolor żałoby, czerwień natomiast świeci z przyległych do nich dzielnic zamiejskich. Przypominam sobie grzech dzieciństwa za który pozbawiano mnie nieraz deseru. Lubiłem mianowicie przyglądać się zabawom, jakie dzieci naszego dozorcy wiodły na podwórzu. Nie miałem najmniejszej ochoty brać udziału w tych zabawach; wydawały mi się jednak bardziej ludzkie od gier uprawianych pod nadzorem guwernantek i nasuwały mi podejrzenie, że ci, którzy tak zupełnie inaczej się bawią, są przeznaczeni dla losów bardziej ludzkich niż nasze. Później, po wielu latach, lubiłem wędrować po przedmieściach, gdzie w dni przedświąteczne lub w powszednie wieczory świat był barwniejszy, bardziej żywy i bardziej mi bliski niż na naszych lśniących ulicach. Harmonia lub katarynka, którą kręcił niewidomy, wzbudzała zachwyt, morska świnka albo papuga, wyciągając ze skrzynki los, urastała do godności Pytii o której czytałem wówczas w mitologii.

Na tych ulicach życie i śmierć, radość i smutek, szczęście i biedy chodziły pod rękę, po jednym i tym samym chodniku, jak chłopiec i dziewczyna, kiedy objęci wpół przechadzają się przed bramą brzydkiego domu, zanim ich nie spłoszy syk i żółte światło gazowej latarni. Tu żyło się poprostu i umierało jeszcze prościej, przynajmniej tak mi się wówczas zdawało, gdy porównywałem pierwszy krzyk noworodka, dobiegający, z ciemnej piwnicy, z odświętną ciszą białej kliniki, gdzie jedna z moich kuzynek powiła martwe niemowlę. Niejednakowa była również śmierć: oszklony, czarny, uroczysty karawan i prosty wóz na którym stała sosnowa trumna. Wóz podskakując na wybojach, toczył się ku wschodniej stronie miasta, gdy elegancki karawan płynął miękko na zachód. Te i inne jeszcze różnice sprawiały, że plan mojego rodzinnego miasta znaczyłem dwoma kolorami.

Prócz planu na stole leżało jeszcze kilka nieodpieczętowanych listów, które zapewne zostały przetrzymane w kancelarii sanatorium. Jedna z kopert, opatrzona sygnaturą wiedeńskiego banku, zawierała w swoim dobrze zabezpieczonym przed ciekawym wzrokiem wnętrzu, lakoniczną wiadomość w postaci wyciągu z konta bankowego. Zgodnie z końcową cyfrą jaka figurowała w wyciągu, moja książeczka czekowa nie straciła jeszcze swojej magicznej siły. Bardzo mnie to pokrzepiło, byłem bowiem przyzwyczajony oddawna do wąskich, zielonych, zadrukowanych pięknym pismem stronic tej książeczki, które oglądane pod światło ukazywały gustowny, wodny znak: wagę i dwa złączone klucze.

Druga koperta, długa i wąska, zawierała kartkę papieru zadrukowaną wyraźnym pismem maszynowym. Litery były niewielkiego formatu, a po ich czerni widać było, że ktoś silnie uderzał w klawisze maszyny.

Mój ojciec pisywał do mnie rzadko, pozostawiając przyjemność tej korespondencji matce, która czyniła to zazwyczaj z większą od niego wprawą, pisząc długie listy, oddalające się coraz bardziej od szablonu suchego komunikowania zdarzeń i dzięki temu tworzyła niewielkie arcydzieła literackie, o czym zresztą napewno nie wiedziała. Jej dar obserwacji rzeczy drobnych, gestów, barw i kształtów był zadziwiający. Powtarzam, że z pewnością nie była tego świadoma, a opisując na wielu stronicach kapelusz albo krajobraz, czyniła to tylko po to, by adresat mógł ujrzeć ten kapelusz lub krajobraz tak dokładnie, jak ona go widziała. Natomiast listy ojca były wzorami lakonizmu, zawierały tylko krótkie polecenia i oschłe wyrazy pozdrowień. Ten, co leżał teraz przede mną mieścił w sobie treść krótką: zapowiadał przekazanie kolejnej sumy miesięcznej na moje konto bankowe oraz zalecał mi, bym postarał się zobaczyć stryja Hieronima, który w najbliższych dniach miał przybyć do Wiednia.

Złożyłem ostrożnie ćwiartkę papieru i wsunąłem ją starannie do koperty. Potem, jakgdyby coś sobie przypominając, wyjąłem ją raz jeszcze i odczytałem przyszły adres stryja Hieronima. Powtórzyłem ceremonię wkładania listu do koperty, zamyśliłem się i z zadowoleniem, że mogę wreszcie zrobić użytek z mojego pióra, wpisałem do niewielkiego notesu w grubej, skórzanej oprawie staroświecko brzmiącą nazwę hotelu. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zapisać tu jeszcze wszystkiego, co wiem o stryju Hieronimie, ale rychło porzuciłem tę myśl, po pierwsze dlatego, że notes mój był zbyt mały, a po drugie — jeszcze zbyt mało wiedziałem o stryju; wiedza moja była niepełna i dotyczyła tylko strony anegdotycznej. Wobec tego, że Hieronim odegra pewną rolę w toku mojego opowiadania, spróbuję oświetlić nieco tę postać. Stryj Hieronim był starszy od mojego ojca, mieszkał w fabrycznej dzielnicy miasta, w pięknej willi tuż obok zakładów przemysłowych nad którymi wisiał wielki szyld: Bracia Lambert i S-wie. Synowie — to był dodatek raczej symboliczny, żaden bowiem z synów braci Lambert nie zajmował się fabryką. Ja — najmłodszy, nawet nie przygotowywałem się do tych czynności, a synowie Hieronima ułożyli sobie życie z wyboru w ten sposób, że nie korzystali z majątku ojca i nic wspólnego nie mieli z fabryką. Starszy żył od wielu lat w jakimś klasztorze na południu Francji, młodszy odsiadywał kilkuletni wyrok za przynależność do organizacji wywrotowej. W chwili aresztowania znaleziono kompromitujące go w oczach władz dokumenty i materiały. Nic nie pomogły interwencje Hieronima, który dowodził, że podejrzewanie syna przemysłowca o tendencje wywrotowe jest jawnym nonsensem. Uśmiechnięty i grzeczny urzędnik defensywy, do którego Hieronimowi udało się dotrzeć dzięki protekcjom i stosunkom, oświadczył, iż jakkolwiek zasługi Hieronima dla sprawy eksportu materiałów włókienniczych z tego kraju są ogromne, to jednak przestępstwo jego syna wobec tego samego kraju jest nierównie większe.

Nie znałem tej sprawy dokładnie, ale sąd wyobrażałem sobie zawsze następująco: w sali sądowej stoi olbrzymia waga o dwuch szalach. Na jednej leżą worki bawełny i złota, a na nich siedzi zmartwiony i elegancki Hieronim, na drugiej — stoi uśmiechnięty syn w czerwonym krawacie i z proklamacją w ręku. I o dziwo—szala na której stoi syn przeważa. Zmartwiony i elegancki Hieronim, siedzący na workach z bawełną i złotem unosi się w górę jak piórko. Wobec tak wyraźnej przewagi winy oskarżonego, wyrok brzmiał: trzy lata. Ale pozostawmy w ukryciu marnotrawnego syna i wróćmy do ojca.. Stary Hieronim zachował postać i wzięcie z lat, gdy kapitał finansowy stał w zenicie swej potęgi. Ale sytuacja na rynkach świata zmieniała się z roku na rok, ekonomia dyktowała swoje twarde prawa historii i obyczajom. Świadomość pojedyńczych przemysłowców nie dopuszczała być może tej myśli, że szyldy nad fabrycznymi bramami, opiewające na nazwiska rodowe, są tylko kurtyną za którą powoli rozgrywał się dramat koncentracji kapitału.

Pewnego pięknego dnia Hieronim został wykupiony przez kapitał zagraniczny—anonimowy pieniądz bez twarzy. Pozostał właścicielem, był nadal ośrodkiem pozornej władzy, ale wiedział, że wystarczy ujawnić zawartość swojego portfelu akcji, by wymówili mu wierność inżynierowie, posłuszni majstrowie i buntujący się czasem, lecz łagodni zazwyczaj tkacze. Mimo to, Hieronim nie ustawał w pracy, choć stracił poczucie władzy absolutnej i czuł się już nie alfą i omegą, lecz jedną ze środkowych liter alfabetu.

Niekiedy w letnie poranki Hieronim przechadzał się po fabrycznym dziedzińcu zanim jeszcze wybiła godzina ósma. Obchodził fabryczne korpusy w towarzystwie starego stróża, jedynego dziś świadka owych mitycznych czasów, kiedy to Hieronim własnymi rękami obejmował źle prosperujące zakłady, by w ciągu niewielu lat uczynić je źródłem ogromnego dochodu.

Obaj stawali przed małym domkiem w którym niegdyś mieścił się kantor, a gdzie teraz składano zardzewiałe żelastwo i drzewo do opalania stróżówki. Hieronim przyglądał się cierpliwie, jak zielona, z roku na rok bujniesza trawa zarasta ceglane schodki po których już nikt nie chodził, wzdychał, stukał laską o kościanej gałce w drzwi zamknięte na przeżartą grynszpanem kłódkę, od której napewno już zgubiono klucze i mówił do starego stróża: Pamięta Tomasz? Tomasz kiwał głową. Obaj przeżyli swój czas. Hieronim pogodzony pozornie z pochłaniającą go z każdym dniem potęgą cudzoziemskiego kapitału, który dając mu pozorną władzę, sprowadzał jego indywidualność do zera, Tomasz — nieufny wobec młodych robotników, pogardzający Kasą Chorych i pierwszomajowymi demonstracjami.

Choć matka moja, wielce liberalna i nie ukrywająca niechęci do „tego fabrykanta",

jak go stale nazywała, przyjmowała go rzadko. Hieronim, który był wspólnikiem mojego ojca, pozostawał z nim w kontaktach, widywał się z nim ilekroć przyjeżdżał ze swoich podróży i żądał, by mnie przyprowadzono do jego opustoszałego po śmierci żony i ucieczce synów, mieszkania. Hieronim starał się zaskarbić sobie moje dziecinne względy i obyczajem stryjów szczypał mnie w policzek palcem wielkim i wskazującym lewej ręki. Zwyczaj ten wydawał mi się wówczas wstrętny, lecz wstręt mój przezwyciężałem mężnie, gdyż zbliżająca się ku mojemu policzkowi dłoń stryja niosła prócz bólu, również i nagrodę. Był to wielki pierścień z rubinem. W chwili uszczypnięcia moje oczy napełniały się łzami dzięki czemu czerwony kamień na serdecznym, pokrytym czarnymi włoskami palcu stryja połyskiwał niby wielkie słońce, gdy zachodzi za lasem. Wychowany zdala od natury ceniłem ów rubin, który dawał mi spektakl podobny do tego jaki raz tylko w okresie wczesnego dzieciństwa dał mi się widzieć na podmiejskiej wycieczce.

Te i inne jeszcze wspomnienia wiążą się z postacią Hieronima, ale nie będę ich tu więcej przywodził. Stanowiłyby bowiem jedynie dystrakcję, nie uzupełniałyby wizerunku, byłyby ozdobą monotonnego toku sprawozdania, którego ozdabiać nie pragnę. Jestem pewien, że pisarzowi wolno przerywać tok wydarzeń dla dywagacji, ale ta dywagacja niech nie dotyczy bohaterów. Ci bowiem, chociaż nieistniejący, wymyśleni, skonstruowani przez autora na podstawie odpowiedniej selekcji, przeprowadzonej w otaczającym świecie, rządzą się na kartach książki własną logiką, lub raczej, powiedzmy to dla ścisłości, są rządzeni logiką czasu i społecznych przynależności wśród których kazał im żyć autor. Bieg życia bohaterów, nurt i kierunek ich myśli są więc zgóry określone, zamknięte w granicach poza które autor nie może ich wyprowadzić, jeśli nie chce pisać nieprawdy. Cóż więc wolno pisarzowi jeśli, jak ja tego nie czynię, nie pisze autobiografii, lecz gdy w jego książce i autor i bohater wypowiadają się w pierwszej osobie? Myślę, że wolno dywagować na temat przedmiotów i rzeczy martwych, wolno opisywać pejzaże, oglądane przez bohatera, wkładając w ten opis więcej niż pozostało w oku bohatera, wolno interpolować sprawozdawczy tekst, komentować od siebie ludzi i ich dzieje: lecz to wszystko winno być czynione tylko po to, by polerowane wieko opowiadania, obciążone tymi skromnymi inkrustacjami i ozdobami, mocniej zatrzaskiwało się nad skrzynią, którą wybrał autor, by zamknąć w niej ludzki los. Pora jednak wrócić do opowiadania.

Hieronim mając dwuch synów, którzy wymknęli się z konwencji mieszczańskiego życia w odległe od siebie reguły ludzkiego postępowania, wiodącego ku zmianie poczynań i myśli, był właściwie samotny. Dlatego też żywił do mnie uczucia niemal ojcowskie. Wobec tego, że nie przyjąłem żadnej z tych reguł, jakie wybrali sobie jego synowie i krążyłem samotnie w orbicie myśli przebiegających ponad przychylnością dla mojego środowiska, lecz jednocześnie odległej od tych orbit po jakich krążyły myśli jego synów, Hieronim sądził zapewne, że drogi nasze jeszcze kiedyś się zejdą. Jeśli powiedziałem o krążeniu samotnym, to dlatego, że w owym czasie istotnie wyobrażałem sobie, że żyję autonomicznie i odrębnie, na własny koszt, nie wiedziałem nawet, że wspomagam obojętnością szczupły świat dążeń i myśli Hieronima, ani że sam skolei jestem wspomagany przez ten świat. Stryj uważał mnie za udanego potomka rodziny, który jeśli nie spełnia pokładanych w nim nadziei już, teraz, to w każdym razie spełni je w przyszłości. W okresie gdy chodziłem jeszcze do szkoły, Hieronim interesował się moimi postępami, po maturze ofiarował mi na znak przymierza złotą papierośnicę. Nie nosiłem jej nigdy, lubiłem bowiem przedmioty płaskie i skromne. Hieronim nie zrażał się niepraktycznością moich młodzieńczych zajęć, bezcelowymi według niego podróżami i brakiem jakiegokolwiek zainteresowania dla spraw przemysłu i finansów. Wietrzył we mnie mimo wszystko to, co nazywał „dobrymi instynktami", a co w sumie ograniczało się do pracy nad utrzymaniem takiego stanu naszego posiadania, jaki dawał się utrzymać. List ojca, który polecał mi, abym odwiedził stryja, przypomniał mi znowu pierścień z rubinem i zachód słońca za podmiejskim lasem. Pejzaż późnej zimy widoczny za oknem w niczym nie przypominał tamtego widoku: nagie, czarne drzewa rysowały się poprzez szyby, jak kości i kręgosłup pacjenta na rentgenogramie.

Zacząłem systematycznie układać wszystkie drobiazgi w neseseerze, poczem zatrzasnąłem wieczko i naciągnąłem płócienny pokrowiec na jasną skórę walizki. Na pokrowcu widniał mój inicjał. Lubiłem bardzo inicjały na rzeczach użytkowych, stwierdzałem w ten sposób, że jestem ich posiadaczem. Skłonność owa nie rozciągała się jednak na obiekty większe, na ziemię albo domy. Te bowiem przywiązywały do miejsca, krępowały swobodę ruchów i postanowień, wreszcie wymagały umiejętnej administracji, jakiej im zapewnić nie byłem w stanie. Jak widać z tego, instynkt posiadania tak pięknie rozwinięty jeszcze w stryju Hieronimie, uległ już we mnie procesowi degeneracji i zwęził się do tego stopnia, że zmuszał mnie jedynie do zarządzania zawartością dziesięciu kieszeni mojego ubrania, kufra—szafy i neseseru.

Otworzyłem skolei ścienną szafę. Okazało się, że lojalność doktora W. i wzorowy porządek, jaki panował w sanatorium sprawiły, iż ścienna szafa była pusta, natomiast kufer-szafa stał już zapakowany i gotowy do dalszej drogi. Tym razem droga miała być niedaleka i bagaż odbył ją w towarzystwie sanatoryjnego boya. Podałem na chybił — trafił adres jednego z niewielkich pensjonatów położonego nieopodal ratusza. Podniosłem kołnierz palta, nasunąłem kapelusz na czoło i nieśmiałym krokiem zszedłem do hallu. Ale nikt mnie nie zatrzymywał. Doktór miał rację: ucieczki pacjentów były zjawiskiem normalnym. Nie wytrzymał nowicjatu! — myślał zapewne o mnie pogardliwy portier w swojej loży, gdy po uregulowaniu należności wróciłem, tym razem pewnym krokiem, do wyściełanego czerwonym pluszem hallu. Zamierzałem dać właśnie napiwek portierowi i rozpinając guzik palta sięgałem do portfelu, umieszczonego w lewej, wewnętrznej kieszeni marynarki, gdy nagle poczułem na prawym ramieniu niewielki ciężar. Spojrzałem w bok i ujrzałem drobną dłoń i pięć palców zaciskających się na szwie, który łączył rękaw z paltem. Zdumiony cofnąłem się o krok; ręka zsunęła się łagodnie wzdłuż pleców. Odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą młodego człowieka mniejwięcej w moim wieku, ubranego starannie, o twarzy wychudłej, oczach osadzonych głęboko i włosach koloru zleżałej słomy. Wąskie wargi były wykrzywione w uprzejmym uśmiechu.

Nieznajomy schylił grzecznie głowę, co miało oznaczać ukłon:

— Chciałbym chwilę z panem pomówić — rzekł łamiącym się w górnych rejestrach głosem. Mówił złą francuszczyzną, pełną przydechów i rozziewów, po której bez trudu można poznać Anglików. Widać było, że obcy język sprawiał mu wiele kłopotu. Milczałem, schylając lekko głowę na znak przyzwolenia. — Przybyłem tu przed dwoma dniami. Dziś oświadczono mi, że zostanę przeniesiony do izolowanego pawilonu, gdyż właśnie zwolnił się tam pokój. Widząc pańskie walizki, domyśliłem się, że to pan właśnie opuszcza sanatorium po skończonej kuracji. Chciałem się więc dowiedzieć... — tu nieznajomy zawahał się przez chwilę. Obaj widocznie doszliśmy do wniosku, że to zawieszenie głosu jest kłopotliwe, obaj bowiem wydobyliśmy prawie jednocześnie z tych samych lewych kieszeni marynarek bardzo podobne papierośnice z żółtej skóry i wyciągnęliśmy je szerokim gestem przed siebie. W wyniku tego wzajemnego gestu trzymałem po chwili w ustach chesterfielda, który należał do mojego rozmówcy, on zaś miął w palcach chesterfielda, stanowiącego moją własność. Automatyzm naszych ruchów nieco nas stropił. Opóźniałem gest wydobycia zapalniczki, pragnąc dać fory nieznajomemu, ale ten przetrzymywał zapewne w tej samej intencji dwa palce w małej kieszonce swojej kamizelki. Nic więc dziwnego, że po chwili obaj niemal równocześnie usłużyliśmy sobie ogniem. Aby przerwać tę serię zwierciadlanych jakgdyby ruchów, usiadłem w skórzanym, stojącym nieopodal fotelu, wskazując sąsiedni fotel nieznajomemu i dokończyłem rozpoczętego przezeń zdania:

— ....czy metoda terapii stosowana przez doktora W. jest skuteczna. O to chciał mnie pan zapytać, prawda?

— Tak, — ucieszył się nieznajomy — Właśnie o to! — znów się zawahał, jakgdyby szukał brakującego słowa. — Rozumiem oczywiście, że przedmiot terapii bywa rozmaity...

— O, nie przypuszczam, — odparłem z lekkim odcieniem ironii w głosie.—Jestem nawet pewien, że nie ma zbyt wielkich różnic w naszych dolegliwościach. Fobie, bezsenność, drobne manie... — wyliczałem spokojnie — Być może — objawy są nieco inne, ale, zaręczam panu, przyczyny i skutki są identyczne.

Nieznajomy przypomniał sobie widocznie jakieś osobliwie zawstydzające objawy swoich dolegliwości, stronił się bowiem wyraźnie, a jego chuda twarz pokryła się słabym rumieńcem.

— Nie, nie — ciągnąłem — to mnie zupełnie nie interesuje. — Nieznajomy wykonał ruch ramionami, jak gdyby mówił: ależ ja przecież nic panu nie powiedziałem. — Nie jest pan członkiem radykalnych organizacji politycznych w pańskim kraju, nie zamknął się pan w klasztorze, nie nawraca pan murzyńskich dzieci na protestantyzm, a co ważniejsze — nie potrafi pan nawet pracować w biurach swojego ojca, ani mnożyć majątku — w miarę jak wyliczałem rodzaje predestynacji, jakie mogą przypaść w udziale właścicielowi żół tej papierośnicy, srebrnej zapalniczki, nienagannie zaprasowanych wąskich spodni i mniej lub więcej skomplikowanych przypadłości psychicznych, które egzorcyzmował doktór W., nieznajomy przeczył mi monotonnym ruchem głowy. Gdy jednak zamknąłem usta po wypowiedzeniu słów: mnożyć majątek — nieznajomy schwycił mnie nagle za rękę, w której trzymałem papierosa. Niewielka kolumienka popiołu spadła na czerwony plusz. Spoglądałem na nią z uwagą, jak gdybym z ogromnej wysokości podziwiał fragment starożytnej ruiny.

— Otóż to właśnie! — wykrzyknął nieznajomy. — Gdyby pan wiedział, jak dobrze czułem się z moją chorobą. Od dziecka, jak długo siebie pamiętam, miałem okresy melancholii. Rodzice moi są bardzo bogaci. Wielki przemysł — powiedział głośno i cicho dorzucił — wojenny. Zresztą nikt się mną nie zajmował, miałem wychowawców i nauczycieli, potem byłem w college. W dzieciństwie hartowano mnie, wie pan? Mój Boże! — zamyślił się nagle, jak gdyby przypomniał sobie wszystkie deszczowe i mgliste dni swojej ojczyzny. — Musiałem biegać zimą z gołymi kolanami. No, ale to nie ważne! — z zawstydzeniem i dumą, jak gruźlik, gdy pokazuje rentgenogram zżartego przez prątki płuca, opowiedział mi historię choroby. Zjawiska te były mi znane z autopsii, ale wrodzona delikatność i wpajane mi przez lata zasady grzeczności nie pozwoliły mi przerywać tej nużącej narracji.

Opowiadanie nieznajomego trwało może pięć, a może nawet dziesięć minut i doszliśmy już do tego punktu, tak charakterystycznego dla terapii stosowanej wobec dusz potomków stu tysięcy rodzin na tym kontynencie, w którym rozsądny i bezradny lekarz zaleca pacjentowi całkowite oderwanie się od środowiska i dalekie podróże.

Słuchałem uprzejmie i cierpliwie, wydmuchując dym papierosa w bok, w stronę wielkiego matowego okna, z którego padała smuga światła na cienkie i rzadkie włosy, pokrywające sklepienie czaszki mojego rozmówcy. Rozmowa coraz to bardziej przybierała formę jednostronnej spowiedzi, a ja nie miałem najmniejszej ochoty zamieniać się w spowiednika: nie wolno mi było potępiać, nie mogłem zadawać pokuty, a już na pewno nie miałem prawa nikogo rozgrzeszać.

— A ojciec pana? — zapytałem nagle.

— Jakto, nie rozumiem? Co ma z tym wspólnego mój ojciec? — zdziwił się nieznajomy.

— O, bardzo wiele, — powiedziałem ostrożnie i grzecznie. — Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie ta firma dostarcza broni dla Hiszpanii, prawda?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia, nigdy się tym nie interesowałem — powiedział szybko nieznajomy. — Ojciec niedawno mi oświadczył, że stan interesów wymaga, bym się zaczął nimi zajmować. Produkcja się zwiększyła, czy jak tam — machnął ręką. — Kazał mi tu przyjechać i wyleczyć się. Rozumie pan, nie — leczyć się, ale wyleczyć się! — ostatnie zdanie było pełne rzewnej melancholii.

— Jestem pewien, że tu pana wyleczą, — powiedziałem spokojnie, wstając.

— Naprawdę? Niech mi pan powie, jak to było z panem — powiedział miękkim głosem syn fabrykanta broni. Ale w tej chwili strumień światła, płynący poprzez matową szybę, załamał się nagle i w drzwiach hallu, wiodących z głębi pawilonu, ukazał się doktór W. Ujrzawszy nas, przyśpieszył kroku. Po chwili ja i mój grzesznik zostaliśmy rozdzieleni.

— No jakże, opuszcza nas pan? — zapytał doktór z uśmiechem, patrząc jednocześnie badawczo nie na mnie, lecz na mojego rozmówcę.

— Tak. Właśnie szukałem pana w kancelarii, doktorze, żeby panu podziękować za opiekę — kłamałem płynnie, wiedząc jak zależy doktorowi W. na tym, by nowoprzybyły pacjent nie dowiedział się o mojej decyzji przerwania kuracji, a zwłaszcza o powodach tej decyzji.

— Pan Adam Lambert opowiedział panu napewno o szczegółach mojej metody? Pacjenci są niepoprawni — uśmiechnął się doktór. — O leczeniu nie należy mówić.

— Nie, nie. To tylko ja opowiadałem o sobie. Nie zdążyłem nawet dowiedzieć się czegokolwiek o sanatorium — bronił się syn fabrykanta broni.

Twarz doktora W. rozpłynęła się w uśmiechu. Uścisnął mi rękę i powiedział:

„A niech pan czasem do nas zajrzy..." — jak gdybym naprawdę był conajmniej jednym z wielu okazów całkowitego powodzenia jego słynnej metody. Kiwnąłem uprzejmie głową, a on tymczasem odpływał już w białym, wzdętym wskutek ruchu powietrza kitlu, ciągnąc za sobą pierworodnego syna armat i czołgów. Czerwony plusz tłumił ich kroki i tylko malejąca w miarę, jak obaj się oddalali, czaszka młodego Anglika, na której nie potrafiłem już po chwili rozróżnić oddzielnych kosmyków, była widomą oznaką rosnącej między nami przestrzeni.

Zapiąłem starannie palto i wyszedłem na ulicę, hałasując turnikietem wyjściowych drzwi.

Z daleka dzwonił tramwaj. Elektryczny zegar nad sklepem zegarmistrza wskazywał czas obiadu. Bagaż mój odjechał już dawno, pilotowany przez sanatoryjnego boya. Miałem przed sobą wiele czasu i podmiejską ulicę, wysadzoną drzewami; tramwaj przebiegł tuż koło mnie. Rozróżniałem twarze ludzi, stojących na platformie, zdążyłem nawet zauważyć, jaką gazetę czytał starszy pan, który siedział przy oknie. Oglądałem świat ciekawie i uważnie, jak rekonwalescent, niepewny swoich kroków, ale widziałem jeszcze wszystko oddzielnie, nie wiązałem ze sobą fenomenów i dla każdego z nich tworzyłem oddzielną pragmatykę i przewidywałem odrębne cele. Byłem pewien, że świat składa się z oddzielnych zjawisk, niezwiązanych ze sobą, zawieszonych martwo w przestrzeni. Niżej — niby wielka i powolna rzeka płynął czas. Przedmioty, widoki, wspomnienia, znużone nieskończoną monotonią swego trwania, odrywały się z wyznaczonych sobie miejsc i spadały na łagodne fale smutnej rzeki. A ona niosła je, czasem wyrzucała na brzeg, czasem znów pozwalała je podziwiać z brzegu. Ale te upadki niczego nie zmieniały wokół, jak na tym obrazie starego Breughla, gdzie widać wystającą z morza nogę upadłego Ikara i obojętny świat, który nie dostrzegł upadku.

Byłem jak ów widz nad brzegiem morza w chwili upadku Ikara, ów widz, którego malarz nie namalował, który był poza obrazem, ale przecież być musiał, aby upadek Ikara mógł zostać zarejestrowany. Przyglądałem się spływającym rzeczom, widokom i wspomnieniom bez wyboru i na tym właśnie braku wyboru w przyglądaniu się polegało, ówczesnym moim zdaniem, ludzkie szczęście.

W owym czasie malarstwo, a raczej oglądanie obrazów, było moim głównym zamiłowaniem. Porzucając myśl o nawiązaniu jakichkolwiek kontaktów ze znajomymi mojej rodziny poświęciłem czas kilku galeriom, którymi chlubi się Wiedeń.

Szedłem tam dopiero wtedy, gdy światło późnej zimy przesączając się przez mleczne szyby galerii pozwalało odróżniać formy i barwy dokładniej niż o jakiejkolwiek innej porze dnia. Dwa muzea mieściły się w dwóch gmachach, pomiędzy którymi rozciągał się wielki plac, a na nim, pośrodku, na kamiennym, poczerniałym cokole siedziała Maria - Teresa. Dwa gmachy po obu stronach placu były jednakowo zbudowane — w pierwszym mieściła się galeria obrazów, w drugim — muzeum historii naturalnej. Symetria placu i identyczność obu budynków zmusiły mnie pierwszego dnia, gdy stałem pomiędzy nimi, tuż u stóp Marii-Teresy, bym sięgnął do Baedeckera i ustalił, w którym z gmachów mieści się galeria.

Potem mogłem już trafić tam z zamkniętymi oczyma. Wystarczyło mi parę drobnych cech odróżniających. Jeden z kamiennych stopni zewnętrznych schodów był pęknięty. Sztacheta okalająca budynek galerii była pokryta grynszpanem bardziej zielonym niż sztacheta, która otaczała gmach mieszczący muzeum historii naturalnej. Byłem pewien, że nigdy nie zbłądzę.

Istnieje we mnie i pozostanie zapewne na zawsze w mojej pomięci rząd widoków i wspomnień, tak posłusznych mojej wyobraźni, że wystarczy, bym powrócił na porzucony oddawna brzeg czasu, a oglądam je znowu, wszystkie naraz — lub wydobywam z nich drobne fragmenty, choćby ów pęknięty stopień kamiennych schodów lub pokryte grynszpanem sztachety. Myślę, że pod koniec życia pozostaje w pamięci zaledwie kilka wspomnień, a te, ku wielkie-

mu zdumieniu ludzi młodych, zamykają w sobie tylko nieznaczne fragmenty wielkiej architektury. Należy przyznać, że historia pomaga jak może powolnemu rozpadaniu się naszych wspomnień; dlatego też jest to wielkim triumfem naszej pamięci, gdy z zamkniętymi oczyma potrafimy powrócić przed jakiś dom lub na jakiś skwer nieistniejący w zrujnowanym mieście naszych lat dziecinnych. Obrazy wydawały mi się zawsze zmaterializowanymi wspomnieniami ludzi, którzy potrafili sobie przypominać więcej i dokładniej niż ja sam. Najbardziej jednak zachwycały mnie te malowidła, które nie były tylko wąskim wycinkiem cudzej pamięci. Lubiłem przede wszystkim wczesne malarstwo włoskie, gdzie plan pierwszy nie zwracał mojej uwagi w takim stopniu jak rozległe, dalekie krajobrazy tła z ich wyraźnie zarysowanymi, szafranowymi drogami, z czarnymi, ostrymi cyprysami, leniwie pofałdowanym morzem, średniowieczną architekturą, widoczną poprzez okno wnętrza, w którym anioł zwiastuje Pannie. Po pewnym czasie oko moje tak bardzo wprawiło się w rozpatrywanie tła, że plan pierwszy nie zajmował mnie zupełnie.

Gdy po kilku dniach wielogodzinnych obserwacji, napatrzyłem się do syta na dalekie pejzaże Włochów, przeszedłem z kolei do sali Flamandów i mijając wspaniałe Breughle, zbliżyłem się do niewielkiego płótna, na którym widać było wnętrze mieszczańskiego domu. Światło rozpraszało się wspaniale na wszystkich przedmiotach wypukłych i koncentrowało się w fałdach tkanin. Płynęło z okna, którego malarz nie namalował, które istniało jednak napewno poza ramami obrazu Było łatwe do odnalezienia, jak punkt w zadaniu geometrycznym. Logiczne rozłożenie blasków i cieni na płótnie mówiło o tym tak dobitnie, że bez trudu potrafiłbym oznaczyć na szerokiej ramie miejsce, w którym znajdowało się okno.

Przypatrywałem się teraz malowidłu przez dłuższą chwilę i już miałem ruszyć dalej niechętnym krokiem amatora wczesnych Włochów, który ogląda flamandzkie wnętrza i martwe natury, gdy nagle uwagę moją zwrócił pewien fragment obrazu.

Oto na stole, w lewej krawędzi płótna, opodal nie istniejącego okna, stało niewielkie, srebrne, niebogato zdobione zwierciadło, a w nim odbijał się fragment ramy okiennej i widok, którego na obrazie nie było. Widok ten ujrzeć by mógł każdy, kto stanął by w miejscu, gdzie malarz namalował stół ze zwierciadłem. Nagle w jednej chwili ożywił się martwy świat flamandzkiego malowidła i nabrał niezwykłego znaczenia. Zostałem tak, nieruchomy, wpatrzony w przywołany z poza obrazu widok małego miasteczka flamandzkich kupców, aż ściemniły się mleczne szyby nad galerią, a stary woźny chrząknął, stając w progu.

Paweł Hertz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ADAM WAŻYK

WIERSZE WYBRANE

z portretem autora

1947

Stron 185 cena zł 240

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

„CZYTELNIK"

TREŚĆ NR. 13

Jarosław Iwaszkiewicz — **Notatki o Tołstoju.** Jan Kott — **Kapitały i folwark.** Kazimierz Brandys — **Rozmaitości.** Zygmunt Radek — **Dziewczyna w płonącym miasteczku.** Włodzimierz Sokorski — **Sprawa reorganizacji wyższego szkolnictwa.** Wanda Grodzieńska — **Wiersz.** Paweł Hertz — **Sedan.** — **Na temat książki prof. Hirszfelda.** Lech Budrecki — **Flamandzki Rabelais dziewiętnastowiecza.** Natalia Gąsiorowska. **Międzynarodowe Stowarzyszenie Uniwersyteckich Profesorów i Wykładowców.** Stefan Otwinowski — **W Krakowie.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd prasy. Korespondencja. Noty. Kolumna satyry.**

ALEKSANDER SZPAKOWICZ

LUMPENBURŻUAZJA (I)

I.

Wyraz „Lumpenburżuazja" został użyty po raz pierwszy w 1946 roku. Nie pamiętam, kto jest autorem tego określenia. Wiem tylko, że słowem tym autor chciał określić pewną warstwę społeczną w Polsce, warstwę, zawdzięczającą swe wzbogacenie się najpierw grabieży mienia pożydowskiego, a następnie grabieży mienia poniemieckiego.

Jak każda nowa definicja, może i ta być sporna. Nie ulega wątpliwości, że termin został ukuty przez analogię do pojęcia „lumpenproletariat", którym określa się pewną kategorię jednostek, wydziedziczonych na równi z proletariatem z własności prywatnej środków wytwarzania. Jednostki, objęte tą definicją tym się różnią od klasy robotniczej, że nie biorą udziału w procesie wytwórczym. Nie należą do żadnej współczesnej klasy społecznej, nie łączy ich w całość jakakolwiek pozytywna rola w ramach ustroju kapitalistycznego, jakakolwiek więź stosunków wytwórczych. Lumpenproletariat nie tworzy więc klasy społecznej w nowoczesnym pojmowaniu tego wyrazu. Jest raczej mechanicznym zbiorowiskiem jednostek, wyrzuconych przez anomalie rozwoju kapitalistycznego z różnych klas i środowisk społecznych. Jednostkom tym obce są zasady moralne i etyczne jakiejkolwiek z tych klas. Łączy je w jedną całość ujemny stosunek do istniejącego społeczeństwa, łączy je wspólna cecha — zdeklasowania i demoralizacja.

Lumpenproletariat znalazł głębokie odbicie w literaturze światowej, znamy go dobrze z dzieł Maksyma Gorkija (postacie „bosiaków" rosyjskich), z książek Jacka Londona („trampowie" amerykańscy) i z dzieł wielu innych pisarzy.

Natomiast termin lumpenburżuazja ma określić po prostu nową warstwę burżuazji polskiej, powstałą w nowych i specyficznych warunkach w ciągu ostatnich 5 — 6 lat. Nowa ta warstwa tym się tylko różni od starych warstw tej samej klasy, że powstała w szczególny sposób. Prócz rodowodu i pewnych specyficznych cech społeczno - psychologicznych, nowa warstwa niczym nie różni się od dobrze i od dawna znanej kategorii społeczej. Dla tego też określenie nowego tworu mianem lumpenburżuazja może budzić pewne zastrzeżenia, gdyż przez analogię nasuwa fałszywe wyobrażenia o roli tej nowej warstwy, jako produktu zdeklasowania burżuazji. Tymczasem tak nie jest.

Natomiast na rzecz tej definicji przemawia jej zwięzłość, trafność, zamykająca w lapidarnym, wzgardliwym skrócie charakterystykę niemal doskonałą.

II.

Wiemy dobrze o tym, że w okresie okupacji i w latach powojennych tworzyła się i powstała dość liczna warstwa nowobogackich, zawdzięczających swą fortunę najrozmaitszym formom szabru. Znamy wszyscy określenie „szabrownik" i „szabrownicy". Wprawdzie szaber praktycznie skończył się już w 1946 r. i proces powstawania nowych członów warstwy szabrowników tym samym dobiegł końca.

Jednakże szabrownicy zostali i w obecnej chwili zmieniają skórę, przekształcają się w zwykłych członków klasy burżuazyjnej; warstwa ta traci stopniowo swe odrębne cechy społeczne i swoisty koloryt. Zjawisko jest więc w stanie zaniku. Stwierdzenie tego faktu ma duże znaczenie poznawcze i praktyczno - polityczne. Traktujemy bowiem to zjawisko jako klęskę moralną naszego narodu i wstydzimy się niejako przyznać do istnienia takiej warstwy. Instynktowny odruch każe nam przemilczeć i zbagatelizować to przykre zjawisko.

Sądzę jednak, że takie podejście do sprawy nie ma nic wspólnego z naukowym traktowaniem poważnego zagadnienia. Naukowiec historyk, ekonomista, socjolog i psycholog musi się liczyć z każdym faktem, musi go zbadać, wyśledzić cały rozwój zjawiska od genezy do szczątkowych pozostałości. Niestety, nasi uczeni we wszystkich wymienionych powyżej dziedzinach dotychczas ignorowali to zjawisko. W każdym razie żadnej publikacji na omawiany temat dotąd nie było, o jakiejkolwiek pracy badawczej w tej dziedzinie nic nie wiadomo.

Sądzę, że literatura piękna, skłonna do odbijania rzeczywistości, niezależnie od jej walorów moralnych, zajmie się w końcu tą sprawą i że w ten sposób szabrownik wejdzie do literatury. Dotąd jednak nie mamy jeszcze i pod tym względem żadnego godnego baczniejszej uwagi dorobku.

Wiemy o szabrownictwie jedynie z dość skromnej w tej mierze kroniki sądowej i zwłaszcza z olbrzymiego własnego doświadczenia każdego z nas, kto nie zamknął się w wieży z kości słoniowej.

Wydaje mi się, że nasze instytucje naukowe, zajmujące się zagadnieniami społecznymi, powinny niezwłocznie przystąpić do badania tego zanikającego już zjawiska, któremu na imię lumpenburżuazja.

Jak szkoda, że nie mamy w Polsce instytucji ankietowej na wzór licznych na Zachodzie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych instytutów badania opinii społecznej! Dla takiej instytucji byłoby zadaniem niezmiernie interesującym i zarazem wdzięcznym zbadanie tego zjawiska. Ileż bezcennych danych mogłoby przynieść rozesłanie wśród omawianej warstwy szczegółowego kwestionariusza (rzecz prosta ściśle anonimowego). Z odpowiedzi na należycie ułożone pytania moglibyśmy urobić sobie autentyczne pojęcie o pochodzeniu, o obecnych formach aktywności społecznej i gospodarczej, o aspiracjach politycznych, o obliczu moralnym i etycznym lumpenburżuazji.

III.

Wobec braku jakiejkolwiek statystyki, jakichkolwiek mniej lub bardziej wiarygodnych danych szacunkowych, socjolog i ekonomista zmuszeni są do badania zjawiska, które nazywamy lumpenburżuazją, niemal że gołym okiem, jedynie na podstawie powszechnie znanych faktów, mających niewątpliwie duży walor poznawczy, ale zupełnie nie dostatecznych dla badania naukowego.

Powstanie warstwy lumpenburżuazyjnej jest zjawiskiem dosyć oryginalnym. Próby znalezienia analogii historycznej spełzły by według mnie na niczym. Nie idzie tu bynajmniej o to, aby wzbogacanie się drogą grabieży należało do zjawisk nienormalnych w dziejach ludzkości. Owszem, jest sporo zboczeń od normalnego biegu rzeczy w dziejach. Tych zboczeń jest nawet więcej niż sporo, jest ich przerażająco dużo.

Dzieje społeczeństwa ludzkiego spowite są w krwawe opary wojen grabieżczych. Na przestrzeni stuleci widzimy wiele wojen, których głównym celem było w istocie osobiste wzbogacenie się wojowników kosztem napadniętych i zwyciężonych.

Nie jest również rzadkością w historii zjawisko masowego przewłaszczania dóbr materialnych, to jest wywłaszczania jednych warstw w celu przekazania ich mienia innym warstwom. Zjawisko to towarzyszyło wielkim przewrotom społecznym, wielkim rewolucjom. W okresie zmierzchu wieków średnich nastąpiła sekularyzacja dóbr kościelnych, wywłaszczenie udzielnych książąt na rzecz szlachty i korony. Car Piotr wywłaszczył w ten sposób feudalnych bojarów na rzecz swych stronników. Wielka rewolucja francuska pociągnęła za sobą gwałtowne przesunięcia własności z jednych rąk do drugich.

Przykładów tych możnaby przytoczyć bardzo wiele. Ale nie znajdziemy wśród nich analogii dla naszego tematu. Bo ani grabieże wojenne, popełnione na pobitych i zwyciężonych narodach, ani przykład konkwistadorów, którzy utworzyli drogą ograbienia pierwotnych mieszkańców Ameryki wielkie fortuny, będące jedną z podstaw szybkiego rozwoju kapitalizmu w Europie, — ani jeden z tych przykładów nie może być wzięty za pełną analogię. W jeszcze mniejszym stopniu nadają się do tego celu masowe akty przewłaszczenia, które dokonały się w rezultacie wielkich przewrotów społecznych, częstokroć nawet w majestacie prawa.

Bo zbogacenie się polskiej lumpenburżuazji odbyło się w innej zupełnie sytuacji dziejowej. Nie było ono ani wynikiem przewrotu, ani zdobywczej wojny. Owszem, była zdobywcza wojna, ale skierowana przeciwko Polsce. Pierwszej fali wielkiego szabru, któremu zawdzięcza swe powstanie i bogactwo polska lumpenburżuazja towarzyszyło nie zwycięstwo Polski, lecz jej straszliwa klęska militarna i polityczna. Zbrojną inwazję grabieżczą podjęli nie Polacy, lecz Niemcy, którzy splądrowali Polskę i całą Europę. Wreszcie, dokonał się w Polsce i wielki przewrót społeczno - polityczny, ale nie przez burżuazję albo lumpenburżuazję, lecz wbrew nim.

Oryginalność badanego zjawiska polega na tym, że lumpenburżuazja polska jest właściwie nieprawym dzieckiem zarówno wojny, jak i rewolucji. Wyrosła ona nie z naszego zwycięstwa, lecz z naszej klęski wrześniowej, z naszej niewoli, wykarmiła ją najstraszliwsza w dziejach ludzkich bestia hitlerowska, fatalna próba cofnięcia wstecz dziejów naszej kultury. Dla tego nasza lumpenburżuazja przypomina nie zwycięskiego drapieżnika, pożerającego swą ofiarę, lecz hienę, utuczoną na cudzym pobojowisku; nie zdobywcę, ogałacającego pobity kraj, lecz marudera, opróżniającego kieszenie poległych.

IV.

Jakiekolwiek jest oblicze moralne tego zjawiska, jakiekolwiek jest miejsce jego w dziejach, pozostaje w końcu z punktu widzenia naukowego rzeczą drugorzędną, choć dla sytuacji społeczno - politycznej w Polsce dzisiejszej ma znaczenie kapitalne. Idzie o to, że rola lumpenburżuazji w kształtowaniu przyszłych dziejów kraju będzie ostatecznie znikoma albo żadna, gdy natomiast na ukształtowanie aktualnej sytuacji społeczno - politycznej nowej Polski powstanie i istnienie tej warstwy miało wcale poważne znaczenie.

Tłumaczy się to względną masowością zjawiska. Szabrowało — przyznajmy to otwarcie — wielu Polaków. Nie wszyscy się wzbogacili, jeszcze mniejsza ilość jednostek może być zaliczona w poczet lumpenburżuazji. Ale warstwa jest stosunkowo liczna.

Co do ilości mienia, które przeszło na trwałe do rąk lumpenburżuazji nie mą na razie żadnych danych i nie wiadomo zresztą, czy uda się to kiedykolwiek ująć w kolumny liczb. Może i tu pomogłoby badanie ankietowe w pewnej liczbie miast i miasteczek. Ściślej dałoby się może ustalić, ile nieruchomego mienia pożydowskiego przeszło w ręce lumpenburżuazji w sposób nielegalny, szabrowniczy. Natomiast nie widzę sposobu oszacowania ilości dóbr ruchomych, które w ten sam sposób zasiliło nową warstwę. Jeżeli idzie o mienie pożydowskie, to było tego w każdym razie dużo. Było to mienie rozproszkowane, należało do setek tysięcy rodzin drobnych i średnich kupców i rzemieślników żydowskich, do inteligencji, wolnych zawodów. Mienie wielkiej burżuazji żydowskiej w mniejszym stopniu padło ofiarą szabru: na to Niemcy odrazu nałożyli swoją rękę. W mocno uszczuplonej postaci pozostałości tego mienia stały się własnością Państwa Polskiego na mocy ustawy o nacjonalizacji.

Nie wszystko zresztą, co stało się własnością

nością lumpenburżuazji dostało się do nowych rąk drogą jawnego rabunku. Wiele mienia zmieniło właściciela w sposób nawpół legalny, na mocy cichych transakcyj, dokonanych przez Żydów, udających się do getta, lub będących za jego murami, lub też ukrywających się poza ghettem. Wiadomo, że w taki właśnie sposób sprzedano „znajomym" domy, meble, dywany, sklepy, fabryczki itd. itd. Były też wypadki oddawania „znajomym" do przechowania rzeczy, kosztowności, pieniędzy i papierów wartościowych, które w ten sposób pozostały już w nowych rękach po wytępieniu Żydów.

Były w końcu mniej liczne wypadki uzyskania mienia pożydowskiego w sposób bardziej legalny w drodze transakcyj dokonanych z wiedzą niemieckich władz okupacyjnych.

Jeżeli więc idzie o metody pozyskania mienia pożydowskiego, moglibyśmy wyliczyć cały wachlarz sposobów do jawnej i bezczelnej grabieży, poprzez przywłaszczenie mienia porzuconego, bezpańskiego i różne mniej lub bardziej fikcyjne akty kupna, aż do całkiem legalnych postaci nabywania.

V.

W trakcie dalszego badania procesu tworzenia się lumpenburżuazji musimy uwzględnić, że nie każdy szaber mienia pożydowskiego czy też później poniemieckiego skrystalizował się w postaci trwałej fortuny. Nie każdy bowiem szabrownik potrafił zachować zdobyte bogactwo. Warunki i czas dokonywały w tej warstwie systematycznej selekcji. Najbardziej pospolitą formą utrwalenia zdobytego majątku było pomnożenie go w drodze handlu.

Może ktoś odpowie na to, że w czasie okupacji handlowali „wszyscy", jak to się często słyszy. Istotnie, handel nazywany czasami „szmuglem" uprawiało mnóstwo ludzi, zwłaszcza w Generalnej Gubernii. Niemiecka polityka okupacyjna, która formalnie zabraniała handlu pod groźbą kary śmierci, w gruncie rzeczy stwarzała jednak warunki, w których handel ten był konieczny i możliwy. System aprowizacyjny i poziom płac zarobkowych był taki, że z otrzymywanych produktów i zarobków nikt nie mógł wyżyć. Zakaz handlu został zresztą przekształcony przez Niemców w fikcję a kontrola nad tym handlem — w źródło stałych dochodów dla żandarmerii i urzędników niemieckich.

W tych warunkach człowiek pracy skazany był na powolną śmierć głodową, gdyby on sam albo jego rodzina nie trudniła się jakimś handlem.

Ale dla większości koniunkturalnych handlarzy z czasu okupacji zajęcie to było koniecznością, połączoną z wielkim ryzykiem, niebezpieczeństwami, strachem i innymi ciężkimi przeżyciami. Większość ta przestała też trudnić się tym handlem z chwilą, kiedy konieczność po temu minęła.

Handel w czasie okupacji, połączony z tyloma trudnościami, nie odstraszał tylko tych, którzy odkryli w sobie odpowienie skłonności i zamiłowania do takiego ryzykownego zajęcia, zdolności do pokonywania wszelkich przeszkód, do pozbycia się konkurentów i świadków do dawania „w łapę", do ukrywania się, a jeżeli trzeba było to i do strzelania. Słowem powodzenie w szmuglu towarzyszyło tym, w których okoliczności odsłoniły wilcze kły i lisią chytrość.

Nie omylimy się twierdząc, że olbrzymia większość tych okupacyjnych handlarzy, którzy zdołali dorobić się na szmuglu, składała się właśnie z szabrowników, tzn. z tych, którzy przywłaszczyli sobie mienie pożydowskie, tworząc w ten sposób niezbędny kapitał obrotowy.

A więc do prawdziwych fundatorów lumpenburżuazji należeli ci, którzy potrafili najwięcej nagrabić mienia pożydowskiego, najbardziej się dorobić w nielegalnym handlu podczas okupacji i najlepiej wyzyskać wszelkie inne nastręczające się w tym okresie sposobności do wzbogacenia się.

Na placu pozostali ci, którzy potrafili zachować swe bogactwo w postaci trwalszych walorów — nieruchomości i ruchomości, walut i kosztowności. Gdy przyszło wyzwolenie całego kraju i przejęcie Ziem Zachodnich, wybiła godzina wielkiego szabru.

Samowolne, anarchiczne przywłaszczenie mienia poniemieckiego przybrało w pewnym okresie rozmiary klęski żywiołowej. Zanim powstało Ministerstwo Ziem Odzyskanych i zanim ten nowy resort zdołał zatamować i następnie położyć kres szabrownictwu minęło sporo czasu.

O tym krótkim, ale burzliwym okresie wiemy bardzo dużo i zarazem bardzo mało. Nie ma rzecz prosta żadnych danych statystycznych o wyszabrowanym w ten sposób mieniu, trudno nawet snuć jakiekolwiek domysły na temat jego wartości. Wydaje się jednak, że można śmiało mówić o wielu miliardach złotych obiegowych.

O tym okresie, który pozostaje jeszcze w naszej świeżej pamięci może kiedyś ktoś napisze więcej. My wiemy tyle, co do nas dotarło w żywym podaniu, w przesadnych, nieraz fantastycznych opowieściach. Bohaterów tego szabru znamy nieco z kroniki sądowej, z komunikatów Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Na pytanie, kto szabrował, fama zazwyczaj odpowiadała „wszyscy". W rzeczywistości, rzecz jasna, tak nie było, bo nie mogło być. Ci, którzy pojechali, żeby na Ziemiach Odzyskanych pracować i budować nowe życie polskie, ci są już obecnie znani. Jak wiemy jest to wielomilionowa rzesza robotników, chłopów, inteligencji pracującej. A zatem nie wszyscy. Zapewne, wielu się skusiło i poszło za głosem diabła, wielu wkroczyło na manowce kradzieży i rabunku, ale przytłaczająca większość pozostała wierna obywatelskiemu obowiązkowi. To nie ulega już dziś kwestii.

Któż więc szabrował? Szabrowali ci, którzy mieli dostatecznie zwichnięte już przed tym sumienie, ci, którzy byli już przed tym zaprawieni w tym złodziejskim zajęciu, ci, którzy już przed tym nabyli doświadczenia w szmuglowaniu, w dawaniu łapówek, ci, którzy już przed tym mieli pociąg do nielegalnych operacyj i do handlowania. Słowem, nie popełnimy chyba żadnego błędu twierdząc, że rdzeń szabrowników na Ziemiach Odzyskanych stanowili ci sami, którzy już przed tym wyszabrowali mienie pożydowskie i następnie pomnożyli swe bogactwo w drodze nielegalnego handlu pod okupacją.

Za tą hipotezą przemawia nie tylko rachunek prostego prawdopodobieństwa, ale także szereg faktów ekonomicznych, swoiste formy aktywności gospodarczej nowej warstwy burżuazji.

Aleksander Szpakowicz

(c. d. nastąpi)

OKOPY ŚW. TRÓJCY

W Nr 2 (27) „Zdroju" Jan Stanisław Łoś ogłosił artykuł pt. Starożytność w kulturze obywatelskiej Polski przedrozbiorowej. Oddaję głos autorowi:

„Przedrozbiorowy naród polski tj. warstwa stanowiąca zespół obywateli wychowanych na kulturze, której antyczne źródła i cechy staraliśmy się naszkicować, utraciła możność rozporządzania jakąkolwiek mechaniczną siłą, mówiąc słowami Wojskiego nie miała naprawdę „policji żadnej". A jednak na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej a więc na przestrzeni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, na przestrzeni nieskończenie większej niż obszar Polski etnograficznej, ten wychowany na obywatelskiej kulturze Polski przedrozbiorowej zespół ludzi potrafił aż do chwili wybuchu pierwszej wojny światowej, a więc przez lat sto dwadzieścia, a więc przez przeciąg czterech ludzkich pokoleń, utrzymać niezaprzeczany przez najzawziętszych wrogów prymat polskiej cywilizacji i polskiego języka. Potrafił, choć sprzysięgły się przeciwko niemu wszystkie absolutyzmy i całe barbarzyństwo Europy środkowej i wschodniej. Utrzymał ten swój prymat nawet tam, gdzie liczbowo biorąc nie reprezentował nigdzie dziesięciu, a częstokroć spadał poniżej trzech procent. Stało się to dlatego, że mając przeciw sobie cyfrę, miał za sobą jakość. I trzeba było dopiero trzęsienia ziemi by go tego przewodniego stanowiska pozbawić. To zjawisko jest chyba niezaprzeczalne. Chcąc obywatelską kulturę Polski przedrozbiorowej należycie ocenić trzeba to zjawisko bardzo głęboko przemyśleć".

„Quid leges sine moribus vanae proficiunt powiada starożytny autor. I przedrozbiorowa demokracja polska nie stała też ustawami, za którymi nie opowiadała się przecie żadna mechaniczna siła. Stała tradycja, obyczajem, opinią publiczną, stała powszechnością i jednolitością kultury przenikającej wszystkie warstwy narodu, aż do samych głębin. Podobne zjawisko kulturalnej jednolitości narodu widzieliśmy w Atenach. Jak w antycznych republikach stała demokracja polska powszechną wolą społeczeństwa, umiłowaniem ustroju, który jak w antycznych republikach, utożsamiano z ojczyzną".

„Otóż na skutek okoliczności — pomijając ludność żydowską — że ludność miast polskich była w górnych swych warstwach przynajmniej pochodzenia niemieckiego, a więc obcego, zacieśniono w Polsce ostatnich Jagiellonów pod wpływem antycznych pojęć prawnych pojęcie pełnego obywatelstwa do warstwy szlacheckiej jako bezsprzecznie rdzennie polskiej".

„Kto chciał w praktyce korzystać z praw obywatelskich, musiał podobnie jak w starożytności udowodnić swą przynależność do grona obywateli, przyczem — a jest to szczegół, który dotąd uszedł uwadze historyków — staropolski wywód szlachectwa jest najdokładniej taki sam, co wywód obywatelstwa w Atenach epoki Peryklesa, a może i jeszcze dawniejszy. Nie śmiem na razie rozstrzygać, czy mamy tu do czynienia ze świadomą recepcją antycznego przewodu sądowego, czy może raczej z przechowaniem się w Polsce praaryjskiego sposobu udowadniania czystości krwi. Jeżeli chodzi o dziedzinę stosunków własnościowych, zwłaszcza dziedzinę własności nieruchomej to prawo antyczne przeprowadzało bardzo konsekwentnie zasadę, że ziemia ojczysta — polityke chora — jak mówili Grecy, może pozostawać we władaniu jedynie obywatela. Stąd przywilej szlachecki wyłącznego posiadania ziemi na własność; stąd też odwrotnie i drugie bardzo polskie zjawisko, że posiadanie ziemi prowadzi niemal automatycznie do szlachectwa, pogląd, naskutek którego warstwa szlachecka wessała niejako cały patrycjat krakowski oraz nieprzeliczone rzesze wolnych chłopów (znakomitą większość wolnych chłopów — wedle dalszego tekstu. St. S.). Na ten ostatni szczegół pragnąłbym zwrócić uwagę; dlatego, że ten dziejowy proces deklasacji wzwyż został pominięty milczeniem lub zbyty kilku słowami przez większość historyków. Korzystały zaś z tego procesu nieprzeliczone rzesze, czego wynikiem był olbrzymi rozrost liczebny warstwy szlacheckiej".

„Ustrój przedrozbiorowej Polski, jak każda rzecz ludzka, po okresie wzrostu, świetności i rozkwitu, wszedł w okres rozkładu i upadku. Stało się to po upływie trzech pokoleń od chwili, gdy Zygmunt zrzekł się wszelkich praw dziedzicznych, składając pełnię władzy w ręce społeczeństwa. Działały żelazne, nieodwracalne prawidła rozwoju i upadku form ustrojowych, zauważone już przez Arystotelesa i sformułowane z nieubłaganą logiką przez Polibjusza, a głoszące, że demokracja, (Polibjusz mówił jedynie o demokracji w stylu antycznym), jest po upływie czterech pokoleń skazana na nieuchronną zagładę na skutek mechanicznego działania właściwych tej formie ustrojowej wad, powodujących corazto większą różnicę pomiędzy zasadami ustroju, a ich praktycznym życiowym zastosowaniem. Dzieje ustroju Polski przedrozbiorowej potwierdzają raz jeszcze prawdziwość Polibiuszowej teorii".

Artykuł osłonięty jest autorytetem Mickiewicza, ściślej — W o j s k i e g o. Oto „słuszne słowa, które Mickiewicz w Panu Tadeuszu wypowiada ustami Wojskiego:

„Ach! Wy nie pamiętacie tego państwo młodzi,
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej
Nigdy nie trzeba było policji żadnej.
Dopóki kwitła wolność szanowano prawa".

Na tym tle występuje plastycznie postać Jana Ostroroga, któremu autor poświęcił osobny ustęp. Ostroróg

„zdobywający się już w połowie XV w. na gest doskonale barokowy, a zarazem tak nowożytny, że, gdyby mógł wstać z grobu i za dni naszych do chłopów - gospodarzy na wiecu przemówić, pociągnąłby ich z pewnością swym naiwnym antyklerykalizmem, i bez trudu przekonał, że księża nadmierne korzyści ze swych owieczek wyciągają, że posługi kościelne powinny być bezpłatne, a utrzymanie proboszczów winno obciażać wyłącznie biskupa".

Poglądy powyższe ubezpieczył autor następującą deklaracją:

„Ale prawda jednostronna jest bodaj szkodliwsza od nieprawdy".

W ten sposób został zapoczątkowany nowy rodzaj literacki — w nauce polskiej. Caveant consules!

St. Śreniowski

ZYGMUNT RADEK

Jarmark w Czersku

Toczy się karuzela podobna do ula,
Strzelają, tłuką flaszki, kukła dzwoni w dzwonek,
Strażacy się urżnęli, żołnierz się ululał,
A niepoń trzyma karty czarne i czerwone.
Obok fotograf — artysta jarmarczny —
Patrzy przez okularów niebieskawe szybki
Na stado gapiów. Landszaft ma niebrzydki
I pudło na trzech nóżkach naprzeciwko karczmy.
Grube anioły z cukru, krzywe świątki z wosku
Nudzą się, a sklepowa szklanki myje w kiosku.
W gruszkach syfonów perli się woda sodowa,
Stożek nieba na ziemię blask czerwony żenie.
Gaje podmiejskie i wzgórz modre cienie
Gdzie się miłość odwieczna przed gapiami chowa!
Pagórki niby grzbiety zabłąkanych owiec,
A widnokrąg rozlany żali się jak wdowiec.
Drzewa żałości płaczące doliny...
Odległość sączy nikłe dźwięki mandoliny:
To pośród łąki fryzjerzy w tużurkach
Czulą się do kochanek: gwiżdżą też na kurkach
Z butelek zielonawe popijając piwo —
— Na reklamie browaru błyszczy król koroną —
W południe dziwożonę znaleźli nieżywą:
Kobietę z bielmem w oku, dnia strzałą rażoną.
Słońce czerwone nici mota na wrzeciono.
Cyganie mają tutaj loterię i budy.
Kuba łazi po ścianie, Batłomiej dmie w dudy,
Tańczy na linie niedźwiedź kudłaty i rudy.
Dosyć od słońca róży i posoki.
Basetla pomruk wydaje głęboki.
Stary cygan uderzył wielką pałą w cymbał.
Tamten w małym kaszkiecie na gęślikach prym orał.
Nagle w bek wszystka duda, chórem i bębenki.
Pokazały im uda rumiane panienki.
Więc rwą się nożownicy. Wyciągnęli noże!
Jabłonka gubi jabłka, mur ze strachu blednie..
Gdyby się w palach zacięli — broń Boże —
Mogliby spłoszyć muzy poobiednie.
Kawalerom niedługo te wrzaski obrzydły.
Zwolna wieczór nadciąga fiołkowymi skrzydły.
Łątek tęczowych grają napowietrzne modły,
Pod mostem się odzywa ryby śpiew żałobny,
I taka dziwna słodycz jest w całej naturze,
Że nawet głupi Maciej zadudnił na rurze.
Ponad wieżą zamczyska stromo strzela raca,
Ale traci odwagę, ku ziemi zawraca.
Zwijają budy graje i próżniaki.
Odjeżdżają po nocy. Klną. Liczą groszaki.

MIECZYSŁAW DROBNER

Dyskusja o Ministerstwie Kultury i Sztuki

Problemy organizacyjne życia artystycznego

Dyskusja, tocząca się na łamach „Kuźnicy" wokół Ministerstwa Kultury i Sztuki dotyczy właściwie jednego jedynego zagadnienia: czy Państwo może i powinno ingerować w sprawy sztuki i na czym ta ingerencja może i powinna polegać. Problem ten był oczywiście pierwszym, jaki stanął przed organizatorami Ministerstwa Kultury i Sztuki w Lublinie (wówczas nazywało się ono Resortem), i — przyznać trzeba — wówczas nakreślone koncepcje i projekty są do dziś wytycznymi w pracach Ministerstwa. Toteż jako jeden z pierwszych organizatorów Ministerstwa czuję się w obowiązku koncepcje ówczesne skonkretyzować, konfrontując je z rzeczywistością na przestrzeni dwu i pół lat, jakie dzielą nas od chwili powołania do życia „naszego" Ministerstwa.

1. Są niewątpliwie dziedziny pracy artystycznej, które bardzo trudno pogodzić z jakimkolwiek „wtrącaniem się" czynnika państwowego: to przejawy twórczości artystycznej, a więc twórczości literackiej, muzycznej i plastycznej. Poeta, malarz czy kompozytor w swej osobistej twórczości nie mogą oczywiście podlegać żadnej „władzy" — muszą pisać (czy malować) kiedy chcą i jak chcą. I mam wrażenie, iż wiele nieporozumień w dyskusji pochodzi właśnie stąd, iż niektórzy dyskutenci mówiąc „sztuka" myślą „sztuka twórcza", rozciągając nietykalność twórczości osobistej na wszystkie przejawy sztuki. Twórcy nie potrzebują „władzy", a potrzebują **pomocy** i opieki ze strony Państwa. Udzielanie tej pomocy w sposób indywidualny przysporzyłoby wiele kłopotów organom państwowym: jedynym przeto czynnikiem kierującym tą pomocą powinny być Związki: Literatów, Artystów - Plastyków, Kompozytorów; rola czynnika państwowego ograniczać się tu musi do stworzenia podstaw materialnych tej pomocy, podstawy finansowej i rzeczowej (domy, majątki ziemskie, przydziały). Tę rolę mógłby oczywiście z powodzeniem odegrać jakiś minimalnie rozbudowany aparat przy Prezydium Rady Ministrów czy innym Ministerstwie.

2. Lecz sztuka nie ogranicza się do twórczości, przeciwnie: twórczość stanowi zaledwie jeden z problemów, interesujących nas w tej chwili. Sztuka stworzona przez twórców musi bowiem dotrzeć do konsumenta; stworzenie dróg od dramaturga do widza teatralnego, od malarza do publiki w Salonie Sztuki, od kompozytora do słuchacza koncertowego oto problemy drugiego kompleksu zagadnień. Muszą istnieć instytucje specjalne, organizujące pokaz dorobku twórczego, i instytucje te muszą być również oparte na mocnych podstawach finansowych. Lecz tu finanse nie decydują: trzeba te instytucje tworzyć, ustalać ich sieć, obsadzać personalnie, ułatwiać skompletowanie fachowego personelu, wreszcie nadać im właściwą linię artystyczną, a niekiedy nawet i polityczną. Kierownictwo takie konieczne jest niezależnie od tego czy instytucje o których mowa są placówkami państwowymi, samorządowymi, społecznymi czy nawet prywatnymi. Jeśli dodać do tego, iż instytucje takie trzeba również i kontrolować finansowo dla uniknięcia nadużyć itp. — stąd jasne, iż do spełnienia takich różnorodnych zadań konieczny jest sprężysty urząd. Red. Żółkiewski chciałby widzieć Ministerstwo Kultury i Sztuki jako instytucję pozbawioną sieci organów wojewódzkich i powiatowych. Jak można sobie jednak wyobrazić, iż Ministerstwo pokieruje sprężyście i zagwarantuje rzetelną pracę kilkudziesięciu teatrów dramatycznych, kilkudziesięciu zespołów muzycznych, kilkuset zespołów objazdowych o typie rewii czy musichallu, kilkuset kinoteatrów, kilkudziesięciu cyrków i lunaparków, — jeśli nie będzie ono posiadało władzy wykonawczej? W jaki sposób będzie Ministerstwo w stanie tępić wszelkiego rodzaju szmirę, rodzącą się pod postacią teatrzyków prowincjonalnych i objazdowych, jeśli nie będzie miało w terenie swoich przedstawicieli? Dwuletnia praktyka wykazała, iż gdzie tylko w wyniku naruszenia swych kompetencji zezwoleń na imprezy artystyczne udzielał starosta, referent bezpieczeństwa lub referent propagandy — tam zawsze rodziła się niesamowicie żywotna szmira, promieniująca na całą okolicę brakiem smaku artystycznego i wulgarnością. A cóż dopiero dziać się będzie w tej dziedzinie, gdy najbliższa instancja artystyczna będzie o kilkaset kilometrów, w dalekiej Warszawie! Przedstawiony stan rzeczy nie przemawia jeszcze za koniecznością tworzenia trzystopniowej administracji artystycznej, lecz bez organów kultury i sztuki na szczeblu wojewódzkim obejść się bezwarunkowo nie można.

3. Obok formy widowiskowej (teatr, koncert, kino, cyrk), rozprowadzającej sztukę wśród społeczeństwa — istnieje jeszcze druga droga, jaką twórczość dociera do konsumenta: wydawnictwa. Wydawnictwa książkowe doprowadzają do czytelnika literaturę powieściową czy poezję, periodyki literaturę mniejszej formy, wydawnictwa nutowe i wytwórnie płyt gramofonowych popularyzują twórczość muzyczną. Gdyby ruch wydawniczy ograniczył się do kilku czołowych wydawnictw — nie byłoby nic prostszego jak uzgodnić w centrali Ministerstwa ich plany wydawnicze i skontrolować conajwyżej ich działalność. Lecz w miarę normalizacji stosunków gospodarczych, zwłaszcza w dziedzinie podaży papieru, powstają setki prywatnych wydawnictw prowincjonalnych, żerujących przeważnie na najniższych gustach publiczności, wydających szmirę i propagujących wulgarność. Zakazać po prostu powstawania prowincjonalnych wydawnictw? Nie leży to po linii politycznej naszego Rządu, poza tym wśród wydawnictw tego rodzaju zdarzają się pozycje cenne pod każdym względem. A zatem — zezwolić i kontrolować. A jak prowadzić kontrolę, jeśli Ministerstwo pozbawione byłoby swych organów terytorialnych? Jeszcze jeden dowód, iż wojewódzkie agendy Ministerstwa Kultury i Sztuki są potrzebne i konieczne.

4. Wśród różnorodnych zagadnień ma Ministerstwo Kultury i Sztuki również i swoje problemy przemysłowe. Zamilkną bowiem filharmonie, jeśli nie otrzymają strun dla skrzypiec. Zamkną się teatry, jeśli im nikt nie dostarczy potrzebnych rekwizytów, kostiumów, peruk. Malarze potrzebują sztalugowego płótna, rzeźbiarze dłut. A przemysł artystyczny to też jedna z ciekawszych pozycji naszej twórczości. Jeśli przekażemy te wszystkie sprawy Ministerstwu Przemysłu — to nasze miniaturowe bolączki utoną w bezkresach odbudowy przemysłu państwowego. Ze swej praktyki ministerialnej mogę dać przykłady jak to jedynie wyrwanie odpowiednich obiektów spod skrzydeł Min. Przemysłu uratowało jedyną w Polsce wytwórnię płyt gramofonowych od całkowitej zagłady, a jedyną fabrykę mechanizmów fortepianowych (mogącą zalać swoją produkcją całą Europę) od przerobienia na fabrykę... mebli giętych. Że obiektami przemysłowymi nie można rządzić od biurka ministerialnego — to chyba jasne: a gdyby nie spostrzegawczość referentów kultury i sztuki na stopniu powiatowym, to do dziś nie wiedzielibyśmy o wymienionych obiektach.

5. Z kolei zagadnienie szkolnictwa artystycznego. Nie można szkół artystycznych uważać za wariant szkolnictwa zawodowego. — Szkoły artystyczne mają za zadanie coś więcej, niż wyszkolenie wyrobnika-malarza, miernego aktorzyny czy muzyka dla dancingu. Dla wyszkolenia takich „artystów" wystarczyłyby szkoły zawodowe analogiczne do gimnazjów krawieckich czy liceów elektrotechnicznych. Szkoła artystyczna musi jednak kształcić artyzm swych wychowanków, a do tego nie wystarczy „siatka godzin" — tu jest potrzebna twórcza atmosfera. Że jednak obok atmosfery potrzebna jest i wiedza ogólna — przeto szereg szkół artystycznych mieści w sobie zarazem i przedmioty ogólnokształcące. Lecz w błędzie jest ob. Baculewski twierdząc, iż w dziedzinie przedmiotów ogólnokształcących w szkołach artystycznych „wykonanie programu budzi daleko idące zastrzeżenia". Nie wiem, czy autorowi polemicznego artykułu wiadomym jest naprzykład, iż Gimnazjum i Liceum Muzyczne w Katowicach otrzymało spośród wszystkich zawodowych szkół ogólnokształcących okresu najlepszą lokatę właśnie za wyniki nauczania przedmiotów ogólnokształcących. Szkół artystycznych na wszystkich trzech stopniach nauczania jest kilkaset: są to szkoły muzyczne, teatralne i plastyczne. Przeprowadzić choćby wizytację tych szkół (nie mówiąc już o nadzorze administracyjnym, sprawach personalnych itp.) w ramach centralnie działającego Ministerstwa jest niemożliwe. Do tego są nieodzowni wizytatorzy okręgowi. I czy Ministerstwo bez opinii czynnika miejscowego jest w stanie udzielić lub odmówić zezwolenia na otwarcie szkoły np. muzycznej w jakiejś małej mieścinie prowincjonalnej?

6. Wreszcie sprawa, o której się najwięcej mówi, a najmniej robi: to t. zw. „upowszechnienie sztuki". Odsyłając zainteresowanych tym problemem do artykułu mego w N-rze 8 — 9 (10 — 11) „Przeglądu Socjalistycznego" — pragnę zwrócić uwagę, iż pod terminem „upowszechnienia" rozumiemy zwykle dwie zupełnie różne rzeczy: upowszechnienie „bierne" przez podawanie sztuki jak najszerszym masom społeczeństwa, oraz „czynne" przez wciąganie szerokich warstw do współudziału w zespołach amatorskich itp. Pierwsze z tych „upowszechnień" pokrywa się niemal dosłownie z tym, co omówiliśmy w drugim i trzecim punkcie naszych rozważań, gdyż właśnie teatry, filharmonie, opery, wystawy i wydawnictwa, to sposoby podawania gotowej sztuki społeczeństwu. A upowszechnienie „czynne"? Zespoły amatorskie (teatralne, muzyczne czy choreograficzne) powstawać będą zawsze i wszędzie tam, gdzie znajdzie się grupa ludzi „ciągnących ku sztuce". Ingerencja „czynników urzędowych" nie jest w stanie ani zwiększyć ani zmniejszyć tego pędu do sztuki. Lecz sama liczebność zespołów nie zadowala nas: chcielibyśmy przecież aby zespoły amatorskie były z artystycznego punktu widzenia jak najlepsze, aby miały jak najciekawszy repertuar, dostosowany do poziomu uczestników i publiczności, aby dla niejednego stały się przedszkolem do sztuki zawodowej. Ten wielki, odrębny świat sztuki amatorskiej potrzebuje również **pomocy**, która przyjmować może rozmaite formy z wyjątkiem pomocy materialnej dla uczestników zespołu, gdyż to przekształcałoby ich w „zawodowych amatorów". Za idealne rozwiązanie pomocy fachowej dla ruchu amatorskiego możemy uznać natomiast stan, w którym na czele amatorskiego zespołu stoi kierownik - zawodowiec, mogący narzucić odpowiedni repertuar, będący dla zespołu nie tylko dyrygentem czy reżyserem, ale zarazem nauczycielem. I tu zarysowują się dwa obowiązki Państwa: wyszkolenie odpowiedniej ilości działaczy artystycznych dla wsi i ośrodków fabrycznych, oraz znalezienie sposobu opłacania (minimalnymi chociaż stawkami) pracy zawodowców, pracujących z zespołami amatorskimi. Szkolenie kierowników może dokonywać się w zwykłych szkołach artystycznych (na specjalnych wydziałach), pomoc materialna i rzeczowa (instrumenty, kostiumy itp.) musi być realizowana poprzez jakieś instytucje o zasięgu „wgłąb" conajmniej do szczebla powiatowego. A zespoły pozbawione kierownictwa zawodowca, stanowiące w tej chwili prawdopodobnie 95 proc. ogólnej ilości zespołów amatorskich? Te tak długo reprezentować będą najniższy istniejący w ogóle poziom artystyczny, póki do nich nie dotrą fachowcy - instruktorzy, służący fachową radą, repertuarem, asystujących na próbach, pouczających kierowników itp. Dziś instruktorów swych obok referatów kultury i sztuki mają: **CIK, TT i ChL, LIOK, LIM, LIK, TUR, TUL, „Wici"** i wiele innych, przyczem wobec zastraszającego braku specjalistów żadnej z tych zasłużonych instytucji nie wystarcza ludzi, wobec czego nie sięgają głębiej jak do stopnia wojewódzkiego. Organem Kultury i Sztuki w zasięgu powiatowym nie powinien być zatem „odnośny referat odnośnego starostwa", lecz komórka instruktorska, obojętne pod czyim formalnie zarządem, lecz zależna od tych samych ośrodków dyspozycyjnych, które kierują sprawami sztuki zawodowej.

Na przykładach poszczególnych problemów życia artystycznego starałem się wykazać, iż Ministerstwo Kultury i Sztuki 1) musi istnieć, 2) musi mieć odbicie terenowe w postaci placówek na stopniu wojewódzkim i powiatowym. Do prawdy tej doszły już dawno przed nami inne państwa demokratyczne. Wystarczy zacytować, iż Związek Radziecki dysponuje potrójnym systemem władz artystycznych: Komitetami i Zarządami dla spraw sztuki na stopniu centralnym, republikańskim i obwodowym (wojewódzkim), *Domami Twórczości Ludowej* (=instruktoraty sztuki amatorskiej) aż do stopnia rejonowego (powiatowego), wreszcie specjalnymi Domami Artystycznego Wychowania Dzieci (do stopnia obwodowego), podporządkowanymi władzom szkolnym. Widać i tam trzydziestoletnie doświadczenie podyktowało konieczność administrowania sztuką niezależnie od sieci instruktorskiej.

Mgr. Mieczysław Drobner.

„NA SREBRNYM GLOBIE"*)

JERZY ŻUŁAWSKI

Żaden z rodzajów powieści fantastycznych nie znajdował nigdy w Polsce odpowiedniego podłoża. Nie mieliśmy prawie wcale samodzielnych powieści awanturniczo - fantastycznych, ani utopijno - naukowych. Literatura fantastyczna pojawiała się najczęściej jako tłumaczenia, zyskując zresztą życzliwe przyjęcie. Dlatego dobrze się stało, że jedna z nielicznych polskich powieści fantastycznych doczekała się obecnie wznowienia. „Na srebrnym globie" Jerzego Żuławskiego jest powieścią tego rodzaju, który operując fantastyką, czerpie z doświadczeń naukowych i z literackich zdobyczy realizmu. Autor próbuje narzucić czytelnikowi całkowite prawdopodobieństwo opowiadanych wydarzeń. W tym celu wprowadza wstęp informujący o wyprawach nakowych, jakoby podejmowanych przed pięćdziesięciu laty — i faktem odnalezienia rękopisu zrzuconego z księżyca usprawiedliwia swoje zainteresowanie tą sprawą. Tym tłumaczy się też pamiętnikarska forma powieści, która ciągle sugeruje rzetelną prawdę faktów.

„Na srebrnym globie" składa się z dwóch zasadniczo różniących się części. Pierwsza opisuje przygody i przeżycia ekipy podróżników w pocisku na powietrznej stronie księżyca. Druga — losy tychże ludzi na drugiej półkuli, gdzie znaleźli warunki, umożli-

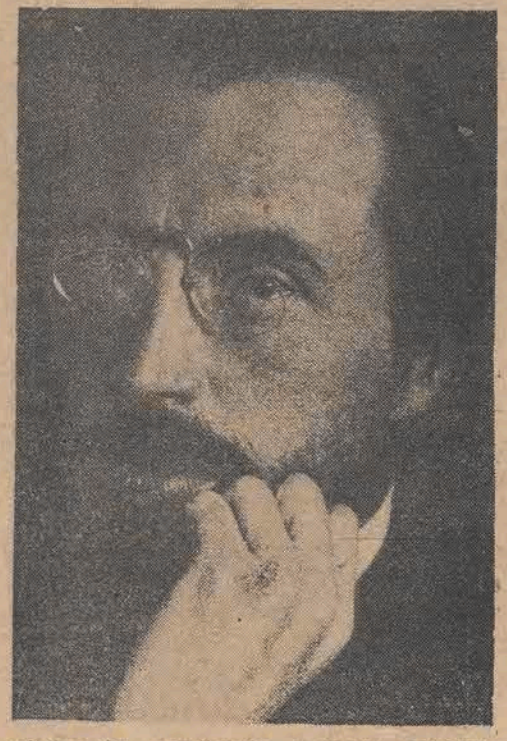

wiające im egzystencję, a nawet założenie nowej ludzkości na nie zamieszkałym do tej chwili globie. Właściwie tylko część pierwsza spełnia postulaty swego rodzaju powieściowego. Autor, wychodząc z założeń prawdopodobieństwa naukowego, próbuje stworzyć plastyczną wizję krajobrazu i warunków klimatycznych na księżycu. Na tle groźnej i martwej przyrody rozwija opowiadanie o życiu czworga ludzi, zamkniętych z konieczności przez długie tygodnie w ciasnej kabinie pocisku. Ich przeżycia i nastroje zostały uzależnione od warunków zewnętrznych i pokonane z artystyczną dyskrecją i umiarem.

Część druga przerzuca uwagę czytelnika ze spraw fantastyki naukowej na intymne przeżycia psychologiczne. Konflikt miłości dwóch mężczyzn do jednej kobiety staje się tym drastyczniejszy, że kobieta ta „w warunkach księżycowych" jest jedyną istotą płci żeńskiej. Taka sytuacja — w intepretacji autora — wyolbrzymia namiętności i niszczy łagodzące działanie cywilizacji. Pionierzy życia na księżycu cofają się do stadium pierwotnego okresu kultury zarówno w dziedzinie życia erotycznego, jak i obyczajowego. Nie są nawet zdolni przekazać dzieciom swoim dawnych form życia. Warunki zewnętrzne (tu jesteśmy bliscy poglądom pozytywistów) determinują charaktery i normy postępowania. Te ciekawe problemy drugiej części utworu — z księżycem mają związek raczej przypadkowy. Równie dobrze mogłyby zostać rozwinięte w inny sposób, gdyby naprzykład autor umieścił swoich bohaterów w sąsiedztwie Robinsona na bezludnej wyspie. Może tylko zyskując na prawdopodobieństwie sprawy te straciłyby wówczas ostrość i wyrazistość sytuacji doprowadzonych do ostatecznych granic konsekwencji.

Ewa Korzeniewska

*) „Na srebrnym globie", Jerzy Żuławski. Sp. Wyd. „Wiedza" 1947.

PRZEGLĄD PRASY

W bieżącym tygodniu bibliograficznym mamy do zanotowania jedno wskrzeszenie i jedne narodziny, które zresztą opinia publiczna uważa raczej również za wskrzeszenie.

Oba fakty kulturalne — wskrzeszenie „Kwartalnika Filozoficznego" i narodziny „Nowin Literackich" — są jeszcze jednym dowodem przeciwko lansowanym przez emigracyjną prasę pogłoskom o stopniowym likwidowaniu" kultury polskiej i o „hegemonii" marksistowskiego światopoglądu. Rzecz prosta, owi emigranci mówiąc słowo „marksizm", myślą o polityce a nie o filozofii, gdyby bowiem myśleli, jak tego żądają od intelektualistów w kraju, tylko o folozofii, to słowo marksizm traktowaliby sine ira et studio, po klerykowsku, podobnie jak nazwy innych teorii filozoficznych, Oba nowopowstałe pisma, z których każde odegra niewątpliwie swoją ważką rolę — jedno w dziedzinie filozofii, drugie — literatury, zapełniają choć zwężone ostatnio, lecz jednak istniejące luki w naszym czasopiśmiennictwie.

Publikacjom filozoficznym sensu stricto służył dotąd wznowiony przed paru miesiącami „Przegląd Filozoficzny", znajdowały one także przytułek choćby w takim miesięczniku jak „Myśl Współczesna", gdzie jednak rozpiętość programu redakcyjnego i wzgląd na czytelnika nie pozwalały na prymat filozofii, gdzie rozprawy dotyczą wielu zagadnień współczesnej nauki — od teorii literatury do ekonomii.

„Kwartalnik Filozoficzny" kontynuując wieloletnią swoją tradycję (XVI tom ogólnego zbioru!) będzie pismem dla specjalistów. Powiększanie się ilości tych pism, co sygnalizowałem już przed kilkoma miesiącami z okazji innych wznowień („Przegląd Socjalistyczny" i inn.) świadczy o tym, że weszliśmy już w drugim roku pokoju na drogę odbudowy nie tylko gospodarczej, ale i intelektualnej.

Zeszyt 2 — 4 „Kwartalnika Filozoficznego" ukazujący się z zasiłku Prezydium Rady Ministrów i Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty został bardzo starannie wydany nakładem Polskiej Akademii Umiejętności.

Redaguje pismo Zygmunt Zawirski. W numerze znajdujemy m. inn. następujące prace: Romana Ingardena „Essencjalne zagadnienia formy i jej podstawowe pojęcia". Zygmunta Zawirskiego „Geneza i rozwój logiki intuicjonistycznej", Marii Ossowskiej „O dwóch rodzajach ocen". Nie mając żadnych kompetencji w tej dziedzinie nauki, jaką jest filozofia, zwróciłem się z prośbą do jednego ze specjalistów, pytając go, która z pozycji zeszytu 2 — 4 zasługuje na podkreślenie. Oświadczył mi, że według jego zdania pozycjami takimi są artykuły: Andrzeja Mostowskiego „O zadaniach nierozstrzygalnych w sformalizowanych systemach matematyki" i znakomity przegląd prac dotyczących logiki intuicjonistycznej Z. Zawirskiego i wyjaśnił, iż tak podstawowych rozpraw poświęconych tym dwu specjalnym problemom o zasadniczej aktualności dla współczesnej filozofii dotąd nie mieliśmy w języku polskim. Ukazanie się pierwszego numeru „Nowin Literackich" poprzedzone było wielotygodniową plotką, która krążyła wśród sfer literackich i artystycznych. Niektórzy oburzali się, iż w dobie demokracji ludowej można wskrzeszać cień „Wiadomości Literackich". Ten purytanizm okazywali zresztą najsilniej ci, dla których niewątpliwie postępowy w pewnym sensie liberalizm przedwojennych „Wiadomości" Boya-Żeleńskiego, Słonimskiego, Hulki - Laskowskiego i tylu, tylu innych pokrywa się całkowicie z pogardzanym przez nich terminem „życia świadomego". Wydaje mi się, że sytuacja „Nowin" w obecnej strukturze naszego życia umysłowego będzie zupełnie inna niż sytuacja „Wiadomości" przed wojną. Przede wszystkim dlatego, że postępowe tendencje społeczne, która nurtowały dawniej w pewnej mierze „Wiadomości" i wobec trudnej sytuacji prasy lewicowej, tam mogły się ujawniać z większą swobodą niż gdzieindziej, są dziś rozpracowywane obszernie i wielostronnie przez dwa duże pisma literackie poza „Nowinami". „Nowiny" natomiast, jak się tego należy spodziewać i jak świadczy o tym numer pierwszy przejmą na siebie tradycję poziomu, klasy literackiej, będą nam prezentowały literaturę nie tylko od strony jej ideologicznej słuszności, ale i od strony jej wdzięku, nie tylko od strony jej obowiązków na dziś, ale i od strony jej uroków, które dziś niedostrzegane w pośpiechu pracowitego dnia, jutro mogą stać się potrzebne i to nie tylko tzw. elicie.

Otóż trzeba to powiedzieć wyraźnie, że tymi właśnie dobrymi, moim zdaniem, tradycjami poziomu i dobrego metier pisarskiego nie zajmowano się dotąd prawie w rozgardiaszu innych, bardziej może istotnych dla życia narodowego, spraw. Dlatego też myślę, że „Nowiny Literackie" mogą oddać poważną usługę zarówno środowisku czytającej inteligencji jak i pisarzom.

Pierwszy numer „Nowin" przynosi m. inn. uwagi Zofii Nałkowskiej o prozie, gdzie znajdujemy między wierszami ocenę sytuacji literatury, której autorka „Medalionów" nie wróży bynajmniej upadku, choć nie ukrywa, że jej zdaniem monopol realizmu nie wyszedłby prozie na zdrowie.

Maria Dąbrowska zamieszcza artykuł „Miasto i pismo" — o Wrocławiu, jako ośrodku intelektualnym, ze szczególnym uwzględnieniem wydawanych tam „Zeszytów Wrocławskich".

Stanisław Ossowski drukuje fragment dłuższej pracy naukowej („Ku nowym formom życia społecznego") p.t. „Styl demokratycznej kultury".

Stanisław Ryszard Dobrowolski w krótkim okolicznościowym artykule „A jednak się porusza" wypowiada, jak mi się zdaje exposé zarówno redakcji „Nowin" jak i wydawców tego pisma: Sp. Wyd. „Wiedza". W tym exposé czytamy m. in. „Od dni wrześniowej katastrofy Warszawa nie posiadała własnego, ambitnego, na wielką skalę pomyślanego czasopisma artystyczno - literackiego, zdolnego skupić wokół siebie we wspólnej pracy szerokiego zespołu pisarzy i artystów. Rozumiemy, że stworzenie takiego warsztatu zbiorowej pracy pisarskiej... nie było rzeczą łatwą. Podejmowane próby... nie dawały pożądanego rezultatu. Ściśle lokalny charakter dotychczasowych tego rodzaju wydawnictw w Warszawie i zespołów pisarskich, spychał nieszczęsną stolicę do kategorii prowincjonalnych środowisk"... „Nowiny" biorą więc na siebie zadanie nie łatwe. Sądzę, że zadanie to pod kierownictwem Jarosława Iwaszkiewicza zostanie wypełnione i, że Warszawa, w której obecnie mieszczą się redakcje dwóch czołowych pism literackich „Nowin" i „Odrodzenia" (kolejność wg. alfabetu!) stanie się znów centrum intelektualnym i artystycznym, jedną ze stolic nowej, humanistycznej Europy.

Sporo miejsca poświęcono w pierwszym numerze muzyce i plastyce. W dziale muzycznym Jarosław Iwaszkiewicz publikuje piękne wspomnienie o Filharmonii Warszawskiej, zaś Piotr Perkowski, przedstawiając zmienne dzieje tej instytucji, domaga się jak najszybszego zorganizowania centrum naszego życia muzycznego.

Niezmiernie interesującą pozycją tego numeru wydały mi się fragmenty z pamiętnika Stanisława Stempowskiego, dotyczące pobytu w carskim więzieniu w latach 1892 — 93, w którym autor został osadzony jako działacz rewolucyjny.

Wspomnienia o Franciszku Fiszerze, którego tak dobrze pamiętają jeszcze liczni bywalcy artystycznych warszawskich kawiarni przedwojennych, zamieszcza Jerzy Zaruba, ilustrując je przy tym własnymi szkicami.

Antoni Słonimski nadesłał redaktorowi „Nowin" list, w którym zapowiada swoją współpracę. Tradycyjną „Kronikę Tygodniową" objął Julian Hochfeld, wyjaśniając związki, jakie łączą Sp. Wyd. „Wiedza" z „Nowinami Literackimi" i określa społeczną platformę nowego pisma, które będzie pismem eklektycznym, lecz służącym „koncepcjom kulturowym wielkiego i dumnego ruchu wolności i sprawiedliwości społecznej". Myślę, że ten „eklektyzm kierowany" wyjdzie na dobre pismu i tak, jak w poprzedniej kronice składałem życzenia pomyślnej pracy przeniesionemu do Warszawy „Odrodzeniu", składam je dziś nie mniej szczerze i serdecznie redakcji „Nowin Literackich".

Ph.

KORESPONDENCJA

W sprawie artykułu o prof. Czarnowskim

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z oświadczeniem dr A. Krygiera w Nr 80 „Kuźnicy", zatytułowanym **„TUR i PPS odpowiada prof. St. Ossowskiemu"**, prosiłbym o zamieszczenie w „Kuźnicy" następującego wyjaśnienia:

W swoim artykule o Stefanie Czarnowskim nic nie mówiłem o stosunkach Czarnowskiego z TUR ani nie opisywałem jego rozejścia się z TUR. Wobec tego słowa p. Krygiera o legendach , które rozszerzają intelektualiści o przedwojennej działalności TUR, nie mogą się odnosić do mego artykułu. Przy sposobności stwierdzam, że nie ma żadnych podstaw, aby przypisywać Czarnowskiemu jakiś niechętny stosunek do TUR, o którego działalności wyrażał się bardzo życzliwie.

Wzmiankę o uczestnictwie Stefana Czarnowskiego w PPS i o jego wystąpieniu z partii oparłem m. in. na oświadczeniu jednego z przedstawicieli PPS, wypowiedzianym podczas organizowania akademii na cześć zmarłego profesora. Brzmiało to mniej więcej tak: „Chociaż Czarnowski w swoim czasie wystąpił z naszej partii, nie zmieniło to naszego doń stosunku". Słyszałem o tym również od innych członków PPS. Aluzję do uczestnictwa Czarnowskiego w PPS robi również prof. Handelsman w życiorysie Stefana Czarnowskiego („Społeczeństwo — Kultura" wyd. Polskiego Instytutu Socjologicznego). Czyżby mieszano PPS i TUR? Bardzo mi przykro, jeśli zostałem wprowadzony w błąd. Postaram się to sprawdzić. Nie wpłynie to jednak na zmianę sylwety Czarnowskiego, jaką nakreśliłem w swym artykule, wszak wzmianka o uczestnictwie profesora w PPS znalazła się tam tylko w związku z wyrażoną opinią, że Czarnowski nie był człowiekiem partii.

Słowa o „oportunizmie niektórych przywódców partyjnych" i o „zbyt ciasnych szrankach partii" znalazł się w mym artykule jako reminiscencja rozmów ze Stefanem Czarnowskim w latach 1935—1937.

Pisząc o prelekcjach Czarnowskiego w organizacjach robotniczych miałem na myśli jego późniejsze stosunki ze związkami zawodowymi, w szczególności ze Związkiem Drukarzy. O ile mi wiadomo, w tym późniejszym okresie Czarnowski umiał nieco lepiej przystosować się do audytorium robotniczego, niż podczas pierwszych konfliktów z TUR, o których pisze dr. Krygier.

Bliskie stosunki osobiste łączyły mię ze Stefanem Czarnowskim dopiero w ostatnich latach jego życia. I postać jego z tych właśnie lat miałem przed oczami w czasie pisania swego artykułu.

Stanisław Ossowski.

Na marginesie dyskusji o Min. K. i S.

Kopanice, dnia 14.3.47.

Szanowna Redakcjo!

Jako stały czytelnik „Kuźnicy", z wielkim zainteresowaniem śledzę dyskusję wokół Ministerstwa Kultury i Sztuki. Głos w tej dyskusji zabierają producenci kulury a nie jej konsumenci. Dużo w tej dyskusji mówiło się o upowszechnieniu kultury, o udostępnianiu jej szerokim masom. Jako człowiek z masy, chłop - osadnik na Ziemiach Odzyskanych, pragnę słów parę w tej sprawie wypowiedzieć. Uważam, że istnienie tak ministerstwa jak i jego organów na szczeblu województwa za celowe.

Należy je tylko uaktywnić, gdyż najczęściej robi się tam bardzo mało. W miastach udostępnienie dobrodziejstw sztuki szerokim masom, jest o wiele łatwiejsze niż na wsi. Podnieść poziom życia kulturalnego wsi, można tylko właśnie przez powiatowe referaty Kultury i Sztuki. Poniżej dokładniej omówię rolę jaką mogą i powinny odegrać w życiu kulturalnym wsi. Uważam, że udostępnić kulturę szerokim masom można tylko przez: 1) Natychmiastowe wprowadzenie w życie ustawy bibliotecznej. Przymusowe utworzenie budżetu bibliotecznego przy każdej gminie wiejskiej i miejskiej. Zakup do tych bibliotek tylko wartościowych książek, oraz fachowe kierownictwo biblioteki.

2) Objęcie mecenatu przez Samopomoc Chłopską i Związki Zawodowe, nad twórczością artystyczną plastyków. Organizowanie wystaw objazdowych (przez ref. Kult. i Sztuki oraz Samop. Chł.), które by odwiedzały większe osiedla wiejskie.Przy tej okazji odpowiedni fachowy prelegent, lepiej ktoś z artystów wygłaszał lekcje, w dostępnym dla słuchacza języku, na temat dzieł będących na wystawie. W ten sposób artysta mógłby naprawdę nawiązać kontakt z ludem.

3) Przymusowe stworzenie w każdym powiecie artystycznego teatru objazdowego. Teatr taki subwencjonowany przez Samopomoc Chłopską i Związki Zawodowe a kierowany i podległy referatowi Kultury i Sztuki starostwa powiatowego, musiał by występować z odpowiednio dobranym repertuarem. W pierwszym rzędzie musiałyby pójść dzieła klasyków. Teatr ten odwiedzałby po kolei wszystkie większe osiedla w powiecie. Sprawa lokalu i sceny, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych nie przedstawi większych trudności. Tu w każdej wsi jest odpowiednia sala ze sceną. Ponieważ na ogół publiczność jest niewyrobiona teatralnie, należało by przed każdym przedstawieniem wygłosić krótką prelekcję, na temat: życie i twórczość danego autora sztuki, oraz okoliczności, które go skłoniły do napisania tej sztuki. Treść sztuk bardziej zawiłych należało by objaśnić. Można też na tej zasadzie zorganizować objazdowe teatry rewjowe. Dla celów transportowych należało by ref. Kultury i Sztuki przydzielić samochód. Na tym kończę tych parę uwag.

Z poważaniem

(—) J. Sidorowicz

Jan Sidorowicz, wieś Kopanie Nr 7, poczta Kamienica, k. Jeleniej Góry, pow. Jelenia Góra, Dolny Śląsk.

JAK ZAPRENUMEROWAĆ

»Kuźnicę«

Kuźnicę zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym wpłacając należność na konto czekowe P.K.O. Nr VII. - 567 z zaznaczeniem „prenumerata Kuźnicy" oraz podać dokładny adres własny.

PRENUMERATA

łącznie z przesyłką wynosi: miesięcznie 60 zł, kwartalnie 180 zł

Różnice stanowisk

Jeden z dyplomatów czynnych przy Konferencji Moskiewskiej na pytanie, w jakiej fazie znajdują się obrady, powiedział: „Ustala się różnice stanowisk".

Francuski tygodnik „La Semaine Ekonomique et Financière" podaje ciekawe zestawienie, które rzuca światło na różnice stanowisk między mocarstwami w sprawie organizacji pokonanych Niemiec. Rozbieżności dotyczą czterech punktów: 1) granic, 2) organizacji politycznej, 3) organizacji gospodarczej, 4) Zagłębia Ruhry. W tych czterech punktach państwa sojusznicze wypowiadają się następująco:

Stany Zjednoczone: 1) Królewiec należy do ZSRR, Polska ma prawo do rewizji granic z 1919 r., przyczem linia graniczna poczdamska nie jest ostateczna; Francja może wcielić kopalnie Zagłębia Saary; Zagłębie Ruhry i Nadrenia wracają do Niemiec. 2) Rząd Niemiec w ręku Niemców; rada narodowa, złożona z ministrów różnych prowincji opracuje konstytucję, którą zatwierdzi komisja kontrolna sprzymierzonych; traktat pokojowy musi być ratyfikowany przez naród niemiecki. 3) Porzucenie planów Morgenthaua, który dążył do zniszczenia przemysłu niemieckiego; zwiększenie potencjału przemysłowego, przewidzianego w Poczdamie; jak najszybsza odbudowa jedności gospodarczej Niemiec. 4) W sprawie Zagłębia Ruhry działa międzynarodowa komisja bezpieczeństwa.

Wielka Brytania: 1) Polska musi dowieść, że jest w mocy zagospodarować odzyskane tereny; Zagłębie Saary wraca do francuskiego systemu gospodarczego; Zagłębie Ruhry i Nadrenia pozostają niemieckie. 2) Nie jest wskazana ani zbyt zdecentralizowana federacja, ani jednolite państwo. Rozwiązaniem właściwym jest Bundesstaat (państwo związkowe). Miałoby ono 2 izby: jedną wybraną w powszechnym głosowaniu, drugą złożoną z przedstawicieli prowincji. 3) Odbudować przemysł niemiecki tak, aby ciężary ponoszone z tytułu okupacji nie przekroczyły możliwości brytyjskiego płatnika podatków. Produkcja stali wzrosłaby do 11 milionów ton. Pomoc przy socjalizacji głównych gałęzi przemysłu. Zakaz wszelkiej produkcji wojennej. 4) Socjalizacja przemysłu Ruhry i administrowanie przemysłem w interesie mocarstw, które potrzebują węgla.

Z. S. R. R.: 1) Nakreślone w Poczdamie granice wschodnie są ostateczne. Ziemie nad Odrą i Nysą wracają do Polski. Zagłębie Ruhry i Nadrenia wrócą do przebudowanych Niemiec. 2) Przyszły ustrój musi być określony bądź drogą referendum, bądź też przez izbę wybraną w powszechnym głosowaniu. Przedtem jednak konieczność gruntownej denazifikacji i pomocy dla partii demokratycznych. Traktat będzie przedstawiony narodowi niemieckiemu. 3) Mocny nacisk na reparacje wojenne. Zjednoczenie stref anglosaskich jest przeszkodą na drodze przebudowy politycznej Niemiec. W strefach zachodnich należy rekwirować część produkcji, podobnie, jak to robi ZSRR w swojej strefie. 4) Gospodarcze umiędzynarodowienie Zagłębia Ruhry z udziałem ZSRR.

Francja: 1) Saara musi być oddzielona od Niemiec. 2) Należy stworzyć Staatenbund (Związek Państw). Każda prowincja (Land) musi zachować zasadnicze instytucje władzy. Wydeleguje ona czterech reprezentantów do izby państw (Länderrat), wybieranej co cztery lata, która z kolei wybierze co roku prezydenta i ratyfikować będzie traktaty. 3) Jedność gospodarcza i natychmiastowe uruchomienie instytucji koordynacyjnych. Utrzymanie poczdamskiego potencjału metalurgicznego (max. 5,800.000 ton). 4) Zwycięzcy powinni w teorii i w praktyce kierować kopalniami i przemysłem Zagłębia Ruhry. Międzynarodowa kontrola gospodarcza i polityczna.

Polska: 1) Ustalone w Poczdamie granice są ostateczne. 2) Utrzymanie jednolitości politycznej zdemokratyzowanych Niemiec. 3) Dokładna spłata odszkodowań, zwłaszcza w postaci urządzeń fabrycznych. Rekwizycja odszkodowań z produkcji wszystkich stref. Nieudzielanie Niemcom kredytów przed zakończeniem odbudowy krajów przez nie napadniętych w czasie wojny. 4) Umiędzynarodowienie gospodarcze Zagłębia Ruhry.

Czechosłowacja: 1) Unieważnienie umowy monachijskiej. Poprawki granicy z r. 1919. Wolna żegluga na Elbie, Renie, Dunajcu i Odrze. 2) Cztery państwa okupujące muszą kontrolować życie polityczne Niemiec. 4) Punktualna i dokładna spłata odszkodowań. 4) Umiędzynarodowienie gospodarcze Zagłębia.

Oto różnice stanowisk między sojusznikami w sprawie reorganizacji Niemiec. Czy porozumienie w rozbieżnych punktach będzie łatwe i czy nastąpi szybko? Przyszłość okaże.

Kandyd.

Noty

Plan wydawniczy

O planie wydawniczym zaczęło się u nas pisać już w pierwszych miesiącach niepodległości. Były to wprawdzie głosy odosobnione, propozycje niezbyt praktyczne. Potem w publicystyce długo tych spraw nie poruszano. Natomiast ruszyły wydawnictwa. Niecierpliwi wyznawcy planowej gospodarki wydawniczej, do których należałem, w milczeniu przeżywali gorycz pierwszych niepowodzeń. Nie byli wysłuchani. I rzeczywiście nie mogło być inaczej. Trudno koordynować i planować rzeczy nieistniejące. W tych pierwszych miesiącach nie tylko nie było planu wydawniczego, nie było przede wszystkim bazy materialnej jakiejkolwiek produkcji wydawniczej. Dwa pierwsze lata zajęło nam budowanie tej bazy i dość chaotyczna akcja wydawnicza.

Lecz od paru tygodni znów przybrały na sile głosy wołające o ogólnokrajowy plan wydawniczy. Sprawy te poruszone zostały w toku dyskusji o Ministerstwie Kultury i Sztuki, która zaczęła się w „Kuźnicy", ale podjęta została przez bardzo wiele pism literackich i codziennych. Poruszył tę sprawę w kapitalnym artykule Adam Bromberg zestawiając cyfry dotychczasowych osiągnięć wydawniczych („Kuźnica" Nr 10 (79). Sprawę planu reedycji polskich klasyków obszerniej omówił niżej podpisany w zeszycie marcowym (2) „Nowych dróg".

Myślę, że dziś pomysł ogólnopolskiego planu wydawniczego dojrzał do realizacji. Spełnione zostały bowiem podstawowe warunki umożliwiające podjęcie takiego planu. A mianowicie: 1) rozbudowały się skrzepły finansowo i organizacyjnie nasze przedsiębiorstwa wydawnicze, 2) zorganizowana została współpraca między nimi i stałe organy kierujące tą współpracą, 3) nasycony został pierwszy głód książki, który narzucał konieczność wydawania „co było pod ręką", 4) zorganizowane zostały instytucje państwowe i społeczne zdolne do kontroli takiego ogólnokrajowego planu, to jest Min. K. i S. i artystyczne związki zawodowe, 5) instytucje społeczne pracujące nad planową polityką kulturalną, nad upowszechnieniem kultury, nad życiem kulturalnym mas zorientowały się w potrzebach odbiorców, z grubsza wyrobiły sobie zdanie o kierunku i treści ideologicznej swojej pracy, 6) twórcy i pisarze mieli czas również zdać sobie sprawę z trudności i charakteru zamówienia społecznego, które chwila obecna przed nimi stawia, 7) jako tako odbudowane zostały warsztaty pracy twórczej — od prywatnych gabinetów pisarzy począwszy — na publicznych bibliotekach kończąc.

Nie wiem, czy wyliczam wszystkie czynniki warunkujące. Jedno jest pewne: czas pracował na rzecz planu — nie przeciw niemu. Cytowane wyżej głosy szerzej uzasadniają tezę, iż plan taki jest konieczny i dla walki z tandetą i szmirą i dla poparcia prawdziwych wartości kulturalnych i dla zintensyfikowania i usensownienia akcji wychowania kulturalnego mas.

Winna się zacząć na ten temat niedługa, ale owocna dyskusja publiczna. Winny paść konkretne propozycje dotyczące: 1) organizacji tej planowej akcji wydawniczej, 2) jej treści, a więc po prostu pozycji, które by w ciągu najbliższych trzech lat winny znaleźć się na rynku księgarskim. Oczywiście propozycje winny się liczyć tylko z istniejącą i projektowaną realnie na najbliższe 3 lata siecią upowszechniającą książkę. A zatem obok prywatnego nabywcy i z odbiorcą, którego obejmuje tu sieć bibliotek, na razie związków zawodowych i organizacji społecznych. Osobna sprawa jest subsydiowanie szczególnie ważnych wydawnictw (klasycy!), aby mogły być sprzedawane istotnie za grosze.

Czekamy na te głosy. **żlk.**

Półinteligencja

Francuskie czasopismo radykalne „Action", będące raczej popularnym tygodnikiem w rodzaju naszej „Trybuny Wolności" — ogłosiło list jednego z czytelników, który wyrażał swoje niezadowolenie z powodu ogłoszenia w piśmie artykułu M. Merleau-Ponty. Artykuł wydał się owemu czytelnikowi niezrozumiały, pretensjonalnie trudny. W liście tym pogardliwie mówi się, iż Merleau-Ponty jest przedstawicielem snobistycznej „nadinteligencji", która murem hermetyzmu odgradza się od rzesz czytelników, nie chce i nie umie być zrozumiała i mówić o wszystkim po prostu.

W Nr. 11 br. „Tygodnika Powszechnego" p. W. cytuje ten list i skierowuje cały atak przeciw polskim intelektualistom, a w szczególności przeciw „Kuźnicy".

W pismach popularnych należy pisać popularnie. W ogóle słusznym jest postulat pisania jasno i po prostu, zrozumiale dla wszystkich.

Są jednak tematy, które mogą być dostępnie wyłożone tylko odpowiednio przygotowanym.

W imię pretensjonalnego prostactwa tępiło się pisarzy, którzy nie spłycają tematów, którzy dostrzegają problemy i ich komplikacje. I zwykle tak bywa: rzekomy hermetyczny „nadinteligent" — to właśnie jest pisarz, którego powinno się cenić za wiedzę i umiejętność samodzielnego rozważania trudnych problemów. Pisarze to nie ekspedienci, którzy dostarczają tylko tego, co się podoba klientowi, obowiązkiem pisarza jest uczyć, odkrywać, zmuszać do wysiłku myśli i przez to wychowywać.

Tak było i w cytowanym przypadku. Marcel Merleau - Ponty jest filozofem - fenomenologiem. Napisał dwie epistemologiczne książki (dość znane, skoro wiem o nich ja — niezbyt oczytany w fenomenologii): „La structure du comportement" (Presses Universitaires de France 1942) i „Phénoménologie de la perception (nrf. 1945 Gallimard). Obie prace są niewątpliwie poważne. Druga została wyróżniona w eklektycznej wprawdzie, ale najciekawszej dziś serii wydawnictw filozoficznych „Bibliotheque des idées", gdzie ukazują się nie tylko prace specjalnie akademickie, ale właśnie i nawiązujące do potrzeb ideologicznych współczesności. M. Merleau-Ponty jest to więc rodzaj naszego Romana Ingardena. Można mieć pretensję do redaktora „Action", że ogłasza artykuły fachowych filozofów — zamiast felietonów przystosowanych do potrzeb tygodnika. Nie można mieć pretensji do pisarza. I artykuł p. Merleau-Ponty winien sobie felietonista „Tygodnika Powszechnego" czytać jak artykuł Ingardena w „Twórczości". Osobiście sądzę, że poglądy filozoficzne Ingardena są pozbawione tych wartości, których ja szukam w filozofii — ale są głębokie, konsekwentne i bardziej pobudzają myśl do samodzielnych poszukiwań do poważnej ideologicznej opozycji, aniżeli wszystkie gładkie felietony z „Przekroju". Dziwiłbym się natomiast, gdyby red. Eile drukował co tydzień Ingardena — zamiast „Zielonej Gęsi".

Podobnie jest z artykułem ks. Michalskiego w „Tygodniku Powszechnym". I one nie są dostępne tak jak każdy felieton. A jednak to one otwierają cenne horyzonty przed ruchem katolickim — a nie „Rycerz Niepokalanej".

Jeśli więc p. W. chciał „Kuźnicę" porównać pod względem formalnym z francuskimi Michalskimi i Ingardenami — nie możemy mu tego mieć za złe.

Jedna tylko uwaga: w kraju, w którym zniszczono biblioteki, w którym do ostatecznych granic przerzedzono kadry naukowców, w którym wszyscy odczuwamy obniżenie się poziomu kultury — walka z poważnymi, nudnawymi, przytrudnymi, trochę zbyt fachowymi, pouczającymi, półnaukowymi artykułami w tygodnikach w imię pretensjonalnego prostactwa — jest objawem półinteligencji.

Walka z tradycyjnymi wartościami subtelnej, starej kultury przechowywanej przez fachową inteligencję jest głupotą.

Jak mawiał stary Maciek nad Maćkami: Oj głupi, głupi na kimby się nie mełło, a na was się skrupi.

Jestem pewien, że gdyby p. W. wiedział to co mu tu powiedziałem o M. Merleau-Ponty nie napisałby swojej noty. Po prostu, żeby się nie kompromitować. Czyż więc ignorancja jest właściwą kwalifikacją do oceniania pisarzy?

Dziwię się red. Turowiczowi, że folguje tego rodzaju popisom dzikusów. **żlk.**

Styl „Kuźnicy" i styl Jasienicy

„P. kpt. Matuszewski zaszczycił mnie kolejnym artykułem... Przeważają rozważania ogólne. O konkretnych faktach mówi się tam niewiele... Oto naukowość w stylu „Kuźnicy"... Kto posiada uniwersalną receptę, temu szczegółowe studia są zbyteczne..."

Nie, panie Jasienica. Uniwersalną receptę posiada pan w stopniu niemniejszym, niż ten, jaki dostrzega pan w moich rozważaniach. Tylko moja recepta wynika z innych faktów, pańska — z innych. Czyni pan osią swoich zarzutów brak „studiów" nad tym, cobym nazwał „generałologią", do czego się już przyznałem, a ja panu równie dobrze mógłbym zarzucić brak studiów nad... literaturą. Nie, to nie żart. Bynajmniej. Pan wie, że wiedza o jakimś fakcie — recte nauka — to przedmiot i metoda. Dyskutujemy niby o jednym, ale ja kwestionuję pański sposób oznaczenia przedmiotu, pańską metodę. Według pana najwięcej wie o kampanii wrześniowej, kto zna miejsce postoju generałów, a ja twierdzę, że to lipa. Bo byłem we wrześniu, bo widziałem. I nietylko ja, ale i inni. Pan kwestionuje „vox populi", a ja kwestionuję pańskie wnioski wysnute z tego, że określił pan, iż generał X bronił się w miejscu Y. Bo z tego nie wynika, że był on w stanie kierować swymi oddziałami. Bo rola tego generała w stosunku do jednostki, którą w założeniu miał dowodzić, była nijaka. Niech pan przeczyta świadectwa pisarzy, pamiętnikarzy, jeśli nie ufa pan własnemu doświadczeniu i opinii powszechnej. Niech pan przeczyta Rudnickiego, Kisielewskiego, nawet Żukrowskiego, który idealizuje Wrzesień, ale niech pan czyta uczciwie, wyciągając właściwe wnioski z zachowania się jego bohaterów. Literatura to dobre źródło, historyczne, lepsze czasem niż meldunki generałów, zagubionych w podlaskich piaskach. Że generałowie w ogóle gdzieś byli? A jakżeż mogło być inaczej? Gdzież mieli się podziać? Pofrunąć w powietrze? Było ich nawet, jak sam pan stwierdza po 8 w jednym miejscu plus 3 pułkowników na generalskich etatach. Z kilkoma batalionami. A gdzie była reszta żołnierzy? Czy wyginęła? Czy była w niewoli? Czy był przy nich jakiś generał? Jak się taki stan rzeczy nazywa w wojskowym języku?

Panie Jasienica, niech pan kota ogonem do góry nie wykręca. Pan wie, że nie chodzi o żadne wianie. To pan wprowadził ten termin do dyskusji, nie ja. To pan przekręca moje poglądy mówiąc o „kategorycznym twierdzeniu, że dowódcy wiali". Zaczęło się od książki płk. Kirchmayera, którą pan objechał niesłusznie i niesprawiedliwie deprecjonując jej wartość i rolę, a której ja broniłem. Teraz się pan Kirchmayerem chce zasłaniać. Ale metodę pan ma nieszczególną. Widzi pan wszystko „oddzielnie", tak, jak w tym znanym wierszu Tuwima: „że deszcz, że drogo", że Zieleniewski, że Przedrzymirski. Nie to, moim zdaniem, jest najważniejsze zarówno w książce Kirchmayera jak i poza nią. Nie to, czy X był dzielny i czy zginął jak bohater, do czego pan stale powraca. Chodzi o diagnozę dla pewnego zjawiska historycznego w życiu narodu. A ta wypada u pana fałszywie. Wynika z niej naprzykład w pańskiej ostatniej nocie, że niema zasadniczej różnicy w postępowaniu Rydza-Śmigłego i Napoleona pod Waterloo, a ja twierdzę, że jest i że jak większość analogij historycznych tak i ta jest fałszywa. Sądzę, że jak pan pomyśli, to się pan ze mną zgodzi.

Zakończę literaturą, ponieważ się na nią powołałem. Czytałem ostatnio „Obrachunki Fredrowskie" Boya. Radzę panu zapoznać się z tą świetną książką, gdzie Boy polemizuje z fredrologami, mającymi za sobą rozległe studia. Może się pan wtedy zorientuje, jaka jest w założeniu różnica między stylem „Kuźnicy" a stylem Jasienicy. **r. m.**

Dogmaty Żółkiewskiego

Jestem jak wiadomo człowiekiem bardzo zarozumiałym. Cała moja dotychczasowa działalność traktuje pobłażliwie. Ot, zwykłe strzępnięcie pióra! Pewien jestem, że to co mógłbym napisać — to ho! ho! wielkie rzeczy.

Toteż jestem doprawdy zdumiony, gdy każde omal moje zdanie wywołuje wrażenie u przeciwników. Zdumiony jestem gorliwością z jaką pracują nad moją popularnością. Nawet kształt mojego kapelusza jest sprawą publiczną dla „kmieci z Marszałkowskiej" i ich lubego organu. Ostatni numer „Tygodnika Powszechnego" przynosi nową zaczepkę. Tym razem w przeglądzie prasy. Po streszczeniu artykułu prof. Kamińskiej z „Myśli Współczesnej" na temat neopozytywizmu anonimowy kronikarz w patetycznych słowach wzywa, abym przestał być dogmatycznym, jeśli powołuję się na zdania neopozytywistów z Koła Wiedeńskiego, którzy nie byli dogmatyczni, krytycznie odnosili się do własnych stanowisk.

Kochany felietonisto, porozumiejmy się: 1) nigdy i nigdzie nie powoływałem się **na filozoficzne** poglądy Koła Wiedeńskiego, o których pisała prof. Kamińska. Przeciwnie każdy kto raz czytał któregoś z neopozytywistów i choćby jeden mój artykuł dotyczący filozofii lub metodologii nauk humanistycznych łatwo zorientuje się, że zajmuję stanowisko biegunowo różne aniżeli neopozytywiści.

2) Powoływałem się na te propozycje wiedeńczyków — które są — niezależne od ich „filozofii" — a dotyczą **techniki** badań teoretyczno - naukowych i techniki formułowania wyników tych badań.

3) Konia z rzędem i paczkę „Bałtyków" temu felietoniście, który mi wskaże tezę z zakresu wyszczególnionego w punkcie drugim, na którą ja się powołałem, a której wątpliwość wykazał artykuł prof. Kamińskiej.

4) Czy jestem dogmatyczny nie będę rozważał. To sprawa dla publiczności obojętna. Tylko dla „Tygodnika Powszechnego" jestem tak historyczną postacią, że chce się zajmować cechami mojej psychiki. Natomiast pragnę podkreślić, że z wielką stanowczością powoływałem się i będę się powoływał na dobrze uzasadnione wyniki krytyki metodologicznej nowoczesnej wiedzy o kulturze. Krytyka ta rozpoczęta 50 lat temu przez antypozytywistów i fenomenologów, kontynuowana przez neopozytywistów w obozie mieszczańskim — a prowadzona od dawna przez marksistów poza obozem mieszczańskim przeszła w Polsce niezauważona. O ile w dobie pozytywizmu czytaliśmy i tłumaczyliśmy ówczesnych nowatorów na gruncie wiedzy o kulturze, o ile w latach 1880 były przekłady i Spencera i Comte'a i Taine'a, o ile ich popularyzatorzy jak Krupiński — byli czytani — to od 50 lat nic się z tego zakresu u nas nie tłumaczy, prawie nie czyta, nie popularyzuje. Toteż każdy felietonista słucha i gada o Dilthey'u, Weberze, Durkheimie, Carnapie — jak o żelaznym wilku. Z wielu ich krytycznych twierdzeń parę (bardzo mało) jest niewątpliwych. I te twierdzenia będę powtarzał z całym dogmatyzmem. Kto chce dowodów i argumentów — a nie dogmatów — niech, do pioruna, przeczyta książki, które cytuję. I niech się nie czepia.

żlk.

„Golono — strzyżono"

W 10 Numerze „Tygodnia" J. Wyszomirski zarzuca mi „zupełną nieznajomość epoki i wypadków" w recenzji z „Rzeczywistości" Putramenta z powodu jednego zdania, które brzmi: „Żagary", „Karta", „Po prostu" — to kolejne tytuły pism, wydawane przez zmienną nieco w swym składzie, ale zasadniczo z jednego pnia się wywodzącą grupę młodzieży wileńskiej". P. Wyszomirski pisze:

„Nic podobnego. Przede wszystkim naprzód wychodziło „Po prostu" (w r. 1935—1936) i dopiero po zawieszeniu go przez wileński sąd okręgowy wychodziła „Karta" (w r. 1936). „Po prostu" podpisywał w imieniu Komitetu Wydawniczego dr Henryk Dembiński. Jako wydawca „Karty" figurował Jerzy Putrament, a jako jej redaktor odpowiedzialny — Michał Szczytt (może to Szulc z „Rzeczywistości"?). Co się tyczy „Żagarów" — o, to stare dzieje: rok 1931 i 1932. „Żagary" nic właściwie wspólnego z „Po prostu" i „Kartą" nie mają. Był to „miesięcznik idącego Wilna, poświęcony sztuce", jak głosił jego podtytuł. Współpracowali w nim młodzi poeci i literaci (i od niego wzięli nazwę żagartystów), z których część założyła wprawdzie w kilka lat potem „Po prostu", ale część poszła też innymi drogami. Spośród tych literatów najznaczniejsi byli: ś. p. Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski, Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski, ś. p. Teodor Bujnicki, Jerzy Putrament, Tadeusz Byrski, Józef Maśliński i inni.

Jak widzimy „Żagary", „Karta" i „Po prostu" — są tytułami kolejno wychodzących pism. Cały zarzut sprowadza się do przestawienia dwu tytułów. Jak widzimy skład redakcji się zmienia, ale pewne nazwiska (Dembiński, Putrament, Jędrychowski) powtarzają się.

Zapytuję zatem, czy szczegóły, którymi felietonista „Tygodnia" uzupełnia moje sformułowania przeczą im w tym stopniu, aby pomawiać kogoś o ignorancję?

Jeżeli stosowanie pozbawionych merytorycznej podstawy zaczepek jest istotnie cechą pisarskiej metody Wyszomirskiego, to może miał trochę racji wymieniony przez niego ś. p. Teodor Bujnicki zamieszczając swego czasu w swych „Osiemnastu paszkwilach na Wilno i Wilnian", tę złośliwą fraszkę.

„Nie wiesz jak Wysz się pisze. Nie
zauważyłem.
Lecz sądząc ze wszystkiego to przez
e pochyłe."

rm.

Poszukiwanie

„Dziś i Jutro" umieściło następujące ogłoszenie:

„Pani, piszącą pod pseudonimem „Wajdelotka" proszona o skomunikowanie się z sekretariatem".

(„Dziś i Jutro" Nr 10 (67) z dn. 2 marca, str. 2)

Kochani Koledzy! I do nas pisuje od miesięcy ta sama korespondentka ukrywająca się pod pseudonimem Wajdelotki.

Ostatnio była łakawsza. W liście do jednego z członków redakcji przesłała swoją fotografię. Reprodukujemy ją poniżej, może Wam pomoże w poszukiwaniu uroczej (jak widzicie) Nieznajomej.

Wraz z fotografią przesłała nam kilka wierszy. Podajemy tu celniejsze wyjątki z tych utworów:

Noli me tangere

Będziesz jej szukał daremnie wkrąg
Będziesz się puszczał w wir, w tany:
W tym wieńcu pokus, oczu i rąk
Nie spotkasz swojej wybranej.

Ona się wymknie zawsze jak mgła,
Na Twojej ścieżce nie stanie:
Obraz jej w sercu dziedzicznie trwa:
D u s z y — jak reszty — o d d a n i e.

Jeszcze nie braknie w Polsce tych dusz
Co pięknie kochać umieją;
Lecz Ty w rachubę nie wchodzisz już:
Żegnać się możesz z nadzieją.

Żadnej nie będziesz kochał i czcił
Choć się spodobasz niejednej
Te co kochają ze wszystkich sił,
W wyborze dość są wybredne...

Pierwej swą duszę, mój bliźni, zmień
W melodię serca wsłuchany...

A teraz Kochani koledzy z „Dziś i Jutro" zgadnijcie, który z członków „Kuźnicy" otrzymał te wiersze i piękną fotografię? Szczęśliwego połowu! Jak mówią marynarze.

rdc.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
D—011599 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.